Rok VI. Lwów, Niedziela dnia 27. Lipca 1879 r. Tom IX.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 26.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

PRZEZ STEPY.

OPOWIADANIE KAPITANA R.

Napisał

LITWOS.

(Ciąg dalszy).

II.

Pewnego razu, po przejściu już Mississippi, zatrzymaliśmy się na nocleg przy rzece Cedar, której brzegi, obrosłe drzewem bawełnianem, dawały nam pewność opału na całą noc. Wracając od kolejników, którzy poszli z siekierami w gęstwinę, spostrzegłem zdaleka, że ludzie nasi, korzystając widocznie z pięknej pogody i cichego ciepłego dnia, rozeszli się na wszystkie strony z taboru w step. Było jeszcze bardzo wcześnie, zwykle bowiem o piątej już z wieczora stawaliśmy na noc, by nazajutrz o pierwszym brzasku dnia wyruszyć. Niebawem spotkałem Miss Morris. Zsiadłem zaraz z konia i wziąwszy, go za lejce, zbliżyłem się do niej uszczęśliwiony, że mogę choć na chwilę być z nią sam na sam. Począłem ją wypytywać o powody, dla których, tak młoda i sama, postanowiła puścić się w tę drogę, wyczerpującą siły najtęższych mężczyzn: — „Nigdybym się nie zgodził — mówiłem — przyjąć pani do karawany miss Morris, ale przez pierwsze dni sądziłem, że jesteś córką ciotki Attkins, dziś zaś cofać się byłoby zapóźno. Czy jednak znajdziesz dość sił, drogie dziecko? bo musisz być przygotowaną, iż dalsza podróż nie pójdzie tak łatwo, jak dotąd.“ — „Sir! odrzekła na to, podnosząc na mnie swoje błękitne smutne oczy — wiem o tem wszystkiem, ale muszę jechać i prawie szczęśliwa jestem, że cofnąć się już niepodobna. — Ojciec mój jest w Kalifornii, i z listu, który mi przesłał naokół Cap Horn, dowiedziałam się, że już od kilku miesięcy leży chory na febrę w Sacramento. Biedny ojciec! przyzwyczajony był do wygód i do mojej opieki — i dla mnie tylko udał się do Kalifornii. Nie wiem, czy go jeszcze zastanę przy życiu ale czuję, że, jadąc do niego, spełniam tylko słodką powinność.“

Nie było co odrzec na takie słowa; zresztą wszystko cobym mógł nadmienić przeciw temu przedsięwzięciu, byłoby niewczesne. Począłem więc tylko wypytywać Lilian o bliższe szczegóły, tyczące jej ojca, które opowiadała z wielką chęcią, a z których dowiedziałem się, że mr Morris był: „judge of the supreme court“ czyli sędzią najwyższego stanowego trybunału w Bostonie; następnie straciwszy majątek, udał się do nowo odkrytych kopalni kalifornijskich, gdzie spodziewał się odbudować straconą fortunę — i córce, którą kochał nad życie, przywrócić dawne stanowisko towarzyskie. Ale tymczasem zachorował na febrę w niezdrowej dolinie Sacramento i, sądząc, że umrze, przesłał Lilian ostatnie błogosławieństwo. Wówczas ona, zebrawszy wszystkie zapasy, jakie był jej pozostawił, postanowiła udać się za nim. Początkowo miała zamiar jechać drogą morską, ale znajomość, zrobiona wypadkowo z ciotką Attkins na dwa dni przed wyruszeniem taboru, zmieniła jej postanowienie. Ciotka Attkins bowiem, będąc rodem z Tenessee i mając pełne uszy wieści, jakie przyjaciele moi z nad brzegów Mississippi opowiadali sobie i innym o moich zuchwałych wyprawach do osławionego Arkanzasu, o doświadczeniu w podróżach przez pustynie i o opiece, jakiej udzielałem słabym (com sobie uważał za prosty obowiązek), w takich odmalowała mnie przed Lilian kolorach, że dziewczynka, nie namyślając się dłużej, przyłączyła się do karawany idącej pod moją wodzą. Tymto przesadnym opowiadaniom ciotki Attkins, która nieomieszkała była dodać, że jestem „knight'em“, czyli rycerzem z urodzenia, przypisać należało zajęcie się panny Morris moją osobą. — „Luba i mała istoto! rzekłem, gdy skończyła opowiadanie, możesz być pewna, że nikt ci tu krzywdy nie uczyni, i że ci opieki nie zbraknie; co zaś do twego ojca, to Kalifornia jest najzdrowszy kraj w świecie, i z febry tamtejszej nikt nie umiera. W każdym razie, póki ja żyję, nie możesz zostać sama, a tymczasem niech Bóg błogosławi twojej słodkiej twarzy!“ — „Dziękuję, kapitanie!“ odpowiedziała ze wzruszeniem, i szliśmy dalej — tylko że mnie serce biło coraz mocniej. Zwolna, rozmowa nasza stała się weselszą i żadne z nas nie przewidywało, że po chwili zachmurzy się niespodzianie ta pogoda, która była nad nami: „Wszakże tu wszyscy dobrzy są dla pani, miss Morris? — pytałem znowu, nie przypuszczając ani na chwilę, że właśnie to pytanie stanie się powodem nieporozumienia. — „O! tak — odrzekła — wszyscy! i ciotka Attkins, i ciotka Grosvenore, i Henry Simpson — on także jest bardzo dobry!“ Ta wzmianka o Simpsonie zadrasnęła mnie nagle, jak ukąszenie węża. „Henry jest mulnikiem — odpowiedziałem sucho—i powinien wozów pilnować“. Ale Lilian, zajęta przebiegiem własnych myśli, nie dostrzegła zmiany w moim głosie i mówiła dalej jak gdyby sama do siebie: „On ma poczciwe serce, i całe życie będę mu wdzięczną.“ „Miss!—przerwałem wtedy, ukłuty do najwyższego stopnia— możesz mu nawet oddać rękę, dziwię się jednak, że mnie wybierasz na powiernika swych uczuć.“ Gdym to rzekł, spojrzała na mnie ze zdziwieniem, ale nie odrzekła nic i szliśmy obok siebie w przykrem milczeniu. Nie wiedziałem, co do niej mówić, a serce moje było pełne goryczy i gniewu na nią i na siebie samego. Czułem się poprostu upokorzony tą zazdrością względem Simpsona, a jednak nie mogłem się jej obronić. Położenie to tak mi się wydało nieznośne, że nagle rzekłem do Lilian krótko i sucho:

— Dobranoc, miss!

— Dobranoc!—odpowiedziała cicho, odwracając przytem głowę, aby ukryć dwie łzy, spływające jej po policzkach.

Siadłem na koń i ruszyłem powtórnie w stronę, zkąd dochodził mnie łoskot siekier, i gdzie między innymi Henry Simpson rąbał także drzewo bawełniane. Ale po chwili zdjął mnie jakiś żal niezmierny, bo mi się zdawało, że te dwie łzy upadły mi na serce. Zawróciłem konia

i w jednej minucie byłem znów przy niej. Zeskoczywszy z siodła, zastąpiłem jej drogę:

— Czego płaczesz, Lilian? — spytałem.

— O sir! odrzekła — wiem, że pochodzisz ze szlachetnej rodziny, bo mi to mówiła ciotka Attkins, ale byłeś tak dobry dla mnie...

Czyniła wszystko, żeby nie płakać, ale nie mogła się powstrzymać, nie mogła dokończyć odpowiedzi, bo łzy tłumiły jej głos. Biedactwo, czuło się do głębi swej smutnej duszy dotknięte moją odpowiedzią, bo widziało w niej jakąś arystokratyczną pogardę; a mnie się ani śniło o żadnej arystokracji, tylko poprostu byłem zazdrosny, a teraz, widząc ją tak rozżaloną, miałem ochotę porwać się za kołnierz i obić. Chwyciwszy jej rękę, począłem mówić żywo:

— Lilian! Lilian! nie zrozumiałaś mnie. Boga biorę na świadka, że nie żadna duma mówiła przezemnie. Patrz! prócz tych dwóch rąk nie mam nic więcej na świecie, więc co mi tam znaczą moje rodowody. Co innego mnie zabolało, i chciałem odejść, ale nie mogę znieść twoich łez. I na to przysięgam ci także, że to, com powiedział, mnie więcej boli niż ciebie. Nie jesteś dla mnie obojętną, Lilian, o! wcale nie! bo inaczej niby mnie nie obchodziło, co myślisz o Henry'm. On jest poczciwy chłopak, ale to nie należy do rzeczy. Widzisz oto, ile mnie kosztują twoje łzy, więc mi przebacz tak szczerze, jak szczerze cię o przebaczenie proszę

Tak mówiąc podniosłem jej rękę i przycisnąłem ją do ust, a ten wysoki dowód czci i prawda, jaka brzmiała w mej prośbie, zdołały uspokoić cokolwiek dziewczynkę. Nie przestała zaraz płakać, ale były to już inne łzy, bo widać było przez nie uśmiech, jakby promyk z pod mgły. Mnie także dusiło coś w gardle, i nie mogłem się opędzić wzruszeniu. Jakieś tkliwe uczucie opanowało mi serce. Szliśmy teraz znowu w milczeniu, ale było nam koło siebie dobrze i słodko. Tymczasem dzień schylił się ku wieczorowi; pogoda była śliczna, a w zmroczonem już trochę powietrzu tyle światła, że i cały step, i dalekie kępy drzew bawełnianych, i wozy w naszym taborze i sznury dzikich gęsi, ciągnące na północ po niebie wydawały się złote i różowe. Najmniejszy wiatr nie poruszał traw; zdaleka dochodził nas szum wodospadów, jakie w tem miejscu tworzyła rzeka Cedar, i rżenie koni ze strony obozu. Ten wieczór taki uroczysty, ta kraina dziewicza i obecność przy mnie Lilian, wszystko to tak nastroiło mnie jakoś, że prawie dusza chciała wylecieć ze mnie i lecieć gdzieś aż do nieba. Myślałem sobie, że byłem jakby dzwon rozkołysany. Chwilami miałem ochotę wziąć znowu rękę Lilian, przyłożyć ją do ust i nie odejmować jej bardzo długo. Ale bałem się, że ją to obrazi. Ona tymczasem szła koło mnie spokojna, łagodna i zamyślona. Łzy jej już oschły; od czasu do czasu podnosiła na mnie swoje świetliste oczy; potem zaczęliśmy znów rozmawiać — i tak doszliśmy aż do obozu.

Dzień ten, w którym doznałem tylu wzruszeń, miał się zakończyć jednak wesoło, albowiem ludzie, zadowoleni z pięknej pogody, postanowili wyprawić sobie „pic-nic" czyli zabawę pod gołem niebem. Po sutszej, niż zwykle, wieczerzy naniecono jedno wielkie ognisko, przy którem miały się odbywać tańce. Henry Simpson umyślnie wyskubał trawę na przestrzeni kilku sążni kwadratowych i ubiwszy ziemię nakształt klepiska posypał ją piaskiem, przyniesionym z nad Cedar. Gdy widzowie zebrali się do koła, dopieroż na tak przygotowanem miejscu począł, przy towarzyszeniu piszczałek murzyńskich, tańczyć „dziga" z powszechnem wszystkich podziwieniem. Zwiesiwszy ręce po bokach, całe ciało trzymał nieruchomie, nogami zaś przerabiał tak szybko, uderzając naprzemian ziemię piętą lub palcami, że ruchu ich prawie niepodobna było okiem ułowić. Tymczasem piszczałki grały zapamiętale; wystąpił drugi tancerz, trzeci i czwarty, i uciecha stała się ogólną. Do Murzynów grających na piszczałkach, przyłączyli się i widzowie, brząkając w blaszane miski, przeznaczone do płukania ziemi złotodajnej, lub bijąc takt z pomocą kawałków żeber wołowych pozasadzanych między palce u każdej ręki, co wydawało odgłos, podobny do chrzęstu kastaniet. Nagle wołania: „minstrele! minstrele!" rozległy się po całym obozie; widzowie utworzyli „ring" czyli pierścień wokół tanecznego miejsca, na środek zaś wystąpili nasi Murzyni, Dżim i Crow, z których pierwszy trzymał bębenek obciągnięty wężową skórą, drugi wspomniane kawałki żeber. Przez chwilę obaj patrzyli na siebie, przewracając białkami oczu, następnie zaczęli śpiewać pieśń murzyńską, przerywaną tupaniem i gwałtownemi rzutami ciała, czasem smutną, a czasem dziką. Przeciągłe: „Dinah! ah! ah!" na które kończyła się każda zwrotka, zmieniło się wreszcie na krzyk i nieledwie zwierzęce wycie. W miarę też jak tańcownicy rozgrzewali się i podniecali, ruchy ich stawały się coraz zapamiętalsze, a nakoniec zaczęli uderzać się wzajemnie głowami z siłą, od której czaszki europejskie pękłyby jak łupiny orzechów. Czarne te postacie, oświetlone jaskrawym blaskiem ognia i rzucające się w szalonych podskokach, fantastyczny istotnie przedstawiały widok. Do wrzasków ich, do odgłosów bębna, piszczałek blaszanych misek i do klekotu żeber, mięszały się okrzyki widzów: „hurra for Dżim! hurra for Crow!" a nawet i wystrzały z rewolwerów. Gdy wreszcie czarni zmęczyli się i padłszy na ziemię, poczęli robić piersiami i dychać, kazałem im dać po łyku „brandy", co zaraz postawiło ich na nogi. Ale w tem poczęto na mnie krzyczeć o „speach"; w jednej chwili wrzawa i odgłosy muzyki ucichły; ja zaś musiałem puścić ramię Lilian i wlazłszy na kozieł wozu zwróciłem się do obecnych. Gdym spojrzał z wysokości na te postacie oświetlone płomieniem ognisk, rosłe, barczyste, brodate, z nożami za pasem i w kapeluszach z poobdzieranemi kaniami, zdawało mi się, że jestem na jakowemś teatrum, lub że zostałem dowódcą rozbójników. Ale były to poczciwe, dzielne serca, choć surowe; życie niejednego z tych ludzi było może burzliwe i wpół dzikie; tu jednak stanowiliśmy jakby świat maleńki od reszty społeczności oderwany i w sobie zawarty, na wspólne przeznaczony losy i wspólnem niebezpieczeństwem zagrożony. Tu ramię musiało wspierać ramię; jeden czuł się drugiemu bratem, a one bezdroża i pustynie bez końca, któremi byliśmy otoczeni, nakazały owym hartownym górnikom miłować się wzajemnie. Widok Lilian, biednej, bezbronnej dziewczyny, spokojnej wśród nich i bezpiecznej, jakby pod rodzicielskim dachem napędził mi te myśli do głowy, więc wypowiedziałem wszystko tak jako właśnie czułem i jak przystało na żołnierza-dowódcę, a zarazem brata wędrowców. Co chwila przerywali mi okrzykami: „hurra for pole! hurra for captain! hurra for Big Ralf!", i klaskaniem w ręce; a co mnie już uszczęśliwiło najwięcej, to gdym zobaczył, między seciną tych ogorzałych potężnych dłoni, jedną parę malutkich rączek różowych od blasku ognia i latających, jakby para białych gołąbków. Wtedy naraz uczułem, że co mi tam ta pustynia, i dzikie zwierzęta i Indjanie i „outlawy"; krzyknąłem więc z wielkim zapałem, że: „dam sobie ze wszystkiem radę, pobiję kto mi w drogę wlezie i poprowadzę tabor choćby na koniec świata — i niech Bóg potępi moją prawą rękę, jeśli to nie jest prawda!" Jeszcze głośniejszo: „hurra!" odpowiedziało na takowe moje słowa, a w uniesieniu wielkiem, wszyscy poczęli śpiewać pieśń emigrancką: „I crossed Mississippi, I shall cross Missouri." (Przeszedłem Mississippi, przejdę i Missouri). Potem mówił jeszcze Smith, najstarszy między emigrantami, górnik z okolic Pittsburgu z Pensylwanji, który złożył mi podziękowanie w imieniu całego obozu, przyczem wychwalał moją biegłość w prowadzeniu taboru, po Smithie zaś, prawie na każdym wozie ktoś przemawiał. Niektórzy mówili bardzo ucieszne rzeczy, mianowicie Henry Simpson, który co chwila wykrzykiwał: „Gentlemanowie! chcę być powieszonym, jeśli nie mówię prawdy!" Gdy wreszcie mówcy ochrypli, ozwały się zaraz piszczałki, grzechotki, i znowu poczęto tańczyć dżiga. Tymczasem noc zapadła zupełna, księżyc wytoczył się na niebo i świecił tak mocno, że płomienie ognisk prawie bladły od jego blasku, a i ludzie i wozy byli oświetleni podwójnem: czerwonem i białem światłem. Była to śliczna noc. Wrzawa naszego obozu dziwną, ale lubą przedstawiała antytezys z cichością i głębokiem uśpieniem stepu. Wziąwszy Lilian pod rękę, chodziłem z nią po całym obozie, a wzrok nasz od ognisk biegł na daleköść i gubił się w fali wysokich a cienkich badylków stepowych, srebrnych od promieni miesiąca i tak tajemniczych jakoby duchy. Tak błądziliśmy przy sobie, a tymczasem, przy jednem odnisku, dwóch Szkotów „highlanderów" poczęło grać na kobzach swoją górską smutną piosenkę: „Bonie Dundee". Stanęliśmy oboje opodal i słuchali przez jakiś czas w milczeniu, nagle ja spojrzałem na nią, ona spuściła oczy — i sam nie wiedząc, dlaczego, tę jej rękę, która wspierała się na mojem ramieniu przycisnąłem do piersi mocno i długo. W Lilian też biedne serduszko zaczęło kołatać tak silnie, żem je czuł jakby na dłoni, i drżeliśmy oboje, beśmy poznali, że się coś tam już między nami staje, coś się przesila i że już nie będziem ze sobą, tak jak dotąd. Alem płynął gdzie mnie ta fala niosła. Zapomniałem, że noc tak jasna, że niedaleko są ogniska, a przy nich ludzie, i chciałem jej zaraz do nóg padać albo przynajmniej patrzeć w jej oczy. Ale ona, choć z kolei przytuliła się także do mego ramienia, odwracała głowę jakby rada ukryć się w cieniu. Chciałem mówić i nie mogłem, bo mi się zdawało, że się jakimś nie swoim głosem odezwę lub że, gdy powiem Lilian słowo: kocham, to chyba padnę. Nieśmiały byłem bo młody i nie samemi zmysłami tylko, ale duszą takoż wiedziony; a i to czułem dobrze, że gdy raz powiem: kocham, to na całą moją przeszłość padnie zasłona i jedne drzwi się zamkną, drugie otworzą, przez które wejdę w nowy jakiś kraj. Więc, choć tam szczęście widziałem za onym progiem, przeciem się na nim zatrzymał, może właśnie dlatego, że mnie ta jasność ztamtąd bijąca olśniła. Przytem, gdy się kochanie rwie nie z ust, ale z serca to chyba o niczem nie jest

tak trudno mówić. Odważyłem się przycisnąć do piersi rękę Lilian — milczeliśmy zaś oboje, bom o miłości mówić nie śmiał; o czem innem nie chciałem, i nie można było w takiej chwili.

Skończyło się na tem, żeśmy oboje podnieśli głowy do góry i patrzyli w gwiazdy, jak ludzie, co się modlą. Wtem zawołano na mnie od wielkiego ogniska; wróciliśmy oboje — zabawa kończyła się; by zaś zakończyć ją godnie i przystojnie, emigranci przed pójściem na spoczynek postanowili spiewać psalmy. Mężczyźni poodkrywali głowy, a chociaż byli między nami ludzie wiar rozmaitych, wszyscy uklękliśmy na murawie stepowej i zaspiewali psalm: „Błądząc po puszczy". Widok to był bardzo rozrzewniający. W chwilach przestanków cisza zapadała tak poważna, że słychać było trzask iskier w ogniskach, z nad rzeki zaś dochodził szum wodospadów. Klęcząc koło Lilian, raz lub dwa razy spojrzałem na nią: oczy miała dziwnie błyszczące, do nieba podniesione, włosy trochę w nieładzie i spiewając pobożnie, tak była podobna do anioła, że prawie do niej można było się modlić.

Po skończonej modlitwie ludzie rozeszli się do wozów, ja objechałem wedle zwyczaju straże a potem również udałem się na spoczynek. Ale gdy dziś muszki nocne zaczęły mi spiewać do ucha, jako codziennie: Lilian! Lilian! wiedziałem już, że tam na wozie spi źrenica oka mego i dusza mojej duszy — i że na wszystkich światach nie mam nikogo droższego nad tę jedną dziewczynę. (C. d. n.)

O BAJRONIZMIE W POEZJI POLSKIEJ.

STUDJUM LITERACKIE

napisał

JÓZEF TRETIAK.

(Ciąg dalszy).

V.

Przechodzę teraz do poety, w którego utworach nie jedna, nie dwie struny, ale cała bajrońska muzyka rozbrzmiewa i melancholja, i demoniczność, i ironja, i zapał liberalny, i posępna dekoracyjność bajronizmu, do poety, który się tak przejął bajronicznym prądem, iż niemal większa połowa jego utworów poetyckich jest owocem tego przejęcia się. Tym poetą, jak się każdy domyśla, jest Słowacki.

Słowacki, cokolwiek wielbiciele jego mogą o nim mówić, był to talent przeważnie naśladowniczy. Nie chcę utrzymywać przez to, żeby nie był wcale zdolnym oryginalnego tworzenia, tylko że wszystko, temperament, wychowanie, otoczenie, całe jego życie składało się na to, aby mu nie dać nigdy zstąpić na dno rzeczywistego życia, skąd jedynie fantazja poety zdoła dobywać perły oryginalnych pomysłów, skąd dla oka poety życie ludzkie przedstawia się w nowych kształtach, które stamtąd są tylko widzialne, a zupełnie nikną, gdy się na to życie spogląda à vol d'oiseau. Życie jego wprawdzie przeszło dość smutno, bo samotnie, bo w ciągłej pretensji do świata, ale mimo to, było bardzo lekkie i swobodne i wszystkie smutki jego należały do owych „smutków błahych, wiotkich, kruchych", o których wspomina w Grobie Agamemnona. Nie zabolała go nigdy głowa o dzień jutrzejszy, mógł bez przeszkody oddawać się poezji, mógł dowoli otaczać się to wirem miast stołecznych, to majestatycznemi widokami alpejskiej przyrody, to znów wędrować po „złotych szafirach," jednem słowem jak najswobodniej poruszać się w życiu, słuchając tylko własnych upodobań. Z drugiej strony nie doznał w życiu nigdy silnych wstrząśnień wewnętrznych, nigdy silna a nieszczęśliwa miłość, jak np. miłość Mickiewicza dla Maryli, nie wstrząsnęła jego jestestwem moralnem, nigdy równie boleśny stosunek rodzinny, jak np. stosunek Zygmunta Krasińskiego do ojca, nie zatrząsł jego sercem i nie ukazał mu różnicy pomiędzy błahymi smutkami a wielkiem cierpieniem. Ten brak silnych wrażeń, brak walki z życiem realnem, ta lekkość i samotność życia poety przy gorącej i ruchliwej fantazji, pobudzanej ostrogą wybujałej ambicji, była przyczyną, że poeta otoczył się sztuczną gorączkową atmosferą, nią żył i oddychał przez całe życie, a odgrodzony od realnego świata, zawsze od innych musiał pożyczać materjału, aby go swojem niesłychanem bogactwem farb umalować i w nowej, złocistej i kolorowej szacie powtórnie w świat puścić. Grała przy tem wielką rolę ambicja, szczególnie jeśli poeta świadomie brał obce temata: miał on siebie za największego z poetów, przynajmniej żyjących (patrz list do matki, w którym mówi o śmierci Goethego) i spotykając się z jakimś utworem, który budził powszechne uwielbienie lub zajęcie, chciał zaraz dowieść światu, o ileby piękniejszy i potężniejszy mógł napisać utwór na ten sam temat.

W chwili gdy Słowacki występował na scenę poetycką, sława Bajrona stała u swego zenitu. Zmierzyć się z tym tytanem liryzmu, prześcignąć go, co za wspaniały cel dla gorącej ambicji Słowackiego. Przytem nie dość, że sława Bajrona spać mu nie dawała, poezja bajrońska bardziej od jakiejkolwiek innej trafiała do duszy Słowackiego. Melodramatyczna dekoracyjność, jaskrawość sytuacji, dzikość i demoniczność bohaterów, wszystko to pociągało ku sobie gorącą fantazję młodego poety, podobnie jak historje o rozbójnikach z kolorowymi obrazkami pociągają ku sobie dziecinne umysły. Nie dla niego jednego wprawdzie było to główną przynętą w bajronizmie, ale nikt nie czuł w swojej fantazji takiej potęgi kolorów, jak Słowacki, i dlatego nikt nie miał takiej chętki do przerabiania tematów bajrońskich, jak on, który mógł je zaraz ubrać w kolory świetniejsze od kolorów oryginału.

Z czasem inne pierwiastki bajronizmu nabrały dla Słowackiego więcej mocy przyciągającej i dlatego bajroniczną poezję jego można podzielić na kilka, mianowicie na trzy okresy. Do pierwszego należy cała galerja posępnych demonicznych bohaterów, narysowanych na wzór korsarza lub Giaura. Imiona ich: Mindowe, Botwel, Bielecki, Hugo, Mnich, Arab, Żmija, Lambro. Wszyscy oni pomimo najrozmaitszej narodowości i sytuacji społecznej podobni są do siebie, jak rodzeni bracia. W ich sercach kłębi się żądza zemsty za jakieś krzywdy, a wraz z nią nienawiść do świata, mniej więcej uzasadniona, czasem jednak niczem nieusprawiedliwiona, zemsta i nienawiść, które ich pchają do walki ze światem na zabój. Na czole ich piętno dumy, na ustach gorycz przesytu. Uważają się oni za wyjątkowe istoty, których zwyczajne przepisy moralności nie obchodzą, brną więc przez zbrodnie do spełnienia swoich błędnych celów, a czasem z rozkoszą kąpią się w tych zbrodniach, dlatego tylko, że to zbrodnie, zupełnie jak dzieci które lubią wchodzić w błoto dlatego, że im starsi na to nie pozwalają.

Skopiowani z bohaterów Bajrona rożnią się od nich tak, jak się zwykle różnią kopje od oryginałów. W bohaterach Bajrona pomimo pewnej przesady w ich uczuciach, mamy zawsze do czynienia z żywymi ludźmi, z żywym raczej człowiekiem, to jest z samym poetą, który się wciela we wszystkich swoich bohaterów. Co ci ludzie czuli, on to czuł, co ci ludzie przechodzili, on to mniej więcej przechodził, czego ci ludzie dokonali, on tego dokonał lub zdolny był dokonać. Nie był wprawdzie bandytą, jak oni, nie rozbijał na morzu, ani na lądzie, ale tę energję, odwagę i dumę, którą ozdobił swoich Korsarzy i Giaurów, tę energję, odwagę i dumę posiadał sam. Swoich demonicznych bohaterów Słowacki nie mógł podobnie uposażyć; z życia własnego nie mógł nic zaczerpnąć, coby się dało w nich przelać, z wyjątkiem chyba kapryśnego niezadowolenia ze świata, tworzył więc swoich bohaterów zlepiając rozpierzchłe kształty bajronicznej poezji, i malując je gorącemi kolorami swej rozmarzonej wyobraźni. Nie znaleść więc w nich prawdy uczuć, a wszędzie tylko poza tragiczna, nawet w lepszych utworach tego szeregu, jak w Bieleckim i Mnichu. W utworach gorszych jak np. w Arabie, poza ta staje się wręcz komiczną i jest, jak to zauważał prof. Małecki w swojej biografji Słowackiego, jakby satyrą na wprowadzoną do poezji naszej demoniczność. Widzimy tu wędrującego po stepie Araba, cóś w rodzaju demonicznego Farysa, który „sroższy nad tygrysy" i „gnany rozpaczą Kaima" szuka wszędzie szczęścia ludzkiego, aby módz je zepsuć i zniszczyć. Po co? na co? dlaczego? zkąd ta nienawiść do rodu ludzkiego? zkąd ta srogość nad srogościami i ta rozpacz Kaima, o tem nic się z poematu dowiedzieć nie można. Dość bliskim Arabowi jest Mindowe, w którym żądza zbrodni jest tak samo prawie nieuzasadnioną jak w Arabie. Wylicza on sam swoje zbrodnie, sam mówi o sobie:

> Bezbożny, zbójca, tyran, obłudnik, morderca!
> Jedna z tych zbrodni ludzkie wypali sumienie;
> Jam wszystkie spełnił — zimno —

Sam serce swoje nazywa „przepaścią rozpaczy i zbrodni", ale i ta rozpacz i ta zbrodniczość jest pozą tylko. Nie wiemy co go wpędziło na drogę zbrodni, co w nim rozbudziło demoniczność, więc nie bierzemy za prawdę ani tych zbrodni, ani idącej za niemi rozpaczy. Wprawdzie w jednem miejscu zdaje się usprawiedliwiać ze swoich zbrodni, mówiąc „nikt mnie nie kochał", ale nie jest to przyczyna, tylko skutek i w istocie dziwnie wygląda ta pretensja do ludzi w ustach tyrana, obłudnika i mordercy.

Botwel jest już wyraźniejszą postacią; i tu jest dużo pozy, ale widzimy przynajmniej cel i przyczynę jego zbrodni. Jestto sceptyk o sercu przepalonem i wielkiej ambicji, nie znajdującej godnego siebie celu. Za pierwszem wystąpieniem na scenę tak się sam przedstawia:

> Widzisz mię Astrologu — na wybladłej twarzy
> Gorzki uśmiech i wzgarda — nie patrz, co jest we mnie.
> Któż się we wnętrze grobu zaglądać odważy?
> Nie zniszczyły mię zbrodnie, jestto sytość życia;
> Gorące serce wrzało we mnie od powicia.
> Teraz jestem znużony — zimny — umrzeć muszę.

W tej prezentacji jest bezwątpienia dość pozy; kto tak pokazuje palcem na swój gorzki uśmiech i wyraz wzgardy na twarzy, ten widocznie pozuje. Bądź co bądź, ustęp ten uzasa-

dnia charakter i przyszłe czyny, przyszłe zbrodnie Botwela. Człowiek ten gorączkowo żył i wcześnie przesycił się życiem; na widnokręgu jego nadziei nie ma nic takiego, coby go mogło nęcić i przywiązywać do życia i dlatego w każdej chwili gotów podać śmierci dłoń przyjazną. Ale astrolog budzi w nim nadzieję zostania królem, ambicja jego znajduje cel godny siebie, i Botwel ze swego przesytu i sceptycyzmu zrywa się do zbrodni, która ma mu utorować drogę do tronu.

Bielecki, Żmija i Lambro stanowią osobną grupę bajronicznych bohaterów Słowackiego. Ożywia ich wszystkich uczucie zemsty: Bielecki mści obelgę i krzywdę wyrządzoną sobie przez wielkiego pana; Żmija śmierć ojca i porwanie kochanki; Lambro jakoby nieszczęścia ojczyzny. We wszystkich nich na posępnem tle duszy migoce łagodne światełko miłości, jak lampka w ciemnych podziemiach płonąca, w czem zresztą podobni są zupełnie do bajrońskich swoich protoplastów. Zachodzą jednak pomiędzy nimi dość znaczne różnice: Bielecki jest bajronistą o tyle szczęśliwie przeszczepionym na grunt polski i to staropolski, że w istocie podobni renegaci istnieli, że podobne krzywdy jak ta, za którą mści się Bielecki, nie były wcale rzeczą nadzwyczajną, i że wreszcie klątwa kościelna, która nań w końcu spada i zamyka dla kości jego łono ziemi ojczystej, jest naturalnem następstwem tej krzywdy i zemsty. Prócz tego jest w Bieleckim pewne umiarkowanie tonu, jest więcej spokoju epicznego, niż w jakimkolwiek innym bajronicznym utworze Słowackiego, powieść rozwija się swobodniej, nie zmienia tak koryta swego, jak Żmija, nie ma tak niefortunnej fabuły, jak Lambro. Bielecki jest bezwątpienia najlepszym z utworów Słowackiego z pierwszego bajronicznego okresu jego poezji, jakkolwiek i w nim miejsce prawdziwej patetyczności zastępuje nieraz poza i patetyczna frazeologja. W Lambrze prócz zemsty odzywa się inna jeszcze bajroniczna nuta, która go zbliża do Botwela: przesyt i nuda. Nie ma już w nim energji Żmii i Bieleckiego, a tem mniej Korsarza lub Giaura. Wprawdzie spełnia czyn szalonej odwagi, podpalając okręt, na którym wieszano jego przyjaciela Rygę; wprawdzie zostaje „królem błękitnawej fali“, czyli poprostu korsarzem i tym sposobem wypowiada wojnę całemu światu, ale zdaje się to wszystko czynić, jakby dla zagłuszenia nudy, jakby dla zasypania silniejszemi wrażeniami tej próżni, jaka się w piersiach jego otwiera. Mamy tu więc tony i to dość silne z Manfreda, podobnie jak w Botwelu, z tą tylko różnica, że Botwela ambicja wyrywa ze znużenia i przesytu, kiedy z Lambrem nawet miłość Idy nie zdoła tego uczynić. Przesyt prowadzi go do nałogu, do odurzania się upajającym napojem, i w tej przepaści każe poeta ginąć swemu bohaterowi. Pomysł to, trzeba przyznać oryginalny, ale oryginalność ta wcale smutna. Wprawdzie i Konrad Wallenrod oddaje się czasem nałogowi pijaństwa, ale u niego to oddawanie się jest tylko przelotną słabością, po której tem groźniej rozbłyska dzika energja. W Lambrze pijaństwo jest ostateczną fazą, do której dochodzi bohater i skąd go śmierć zabiera. Dlatego postać Lambra wydaje się niegodną być główną osobą bohaterskiego poematu.

Hugo i Mnich, zaliczeni do tego okresu są najmniej bajronicznemi postaciami. Nie ma w nich ani zemsty, ani przesytu ani demoniczności. Jest tylko bolesna walka z otaczającym światem, a i w tej walce występują oni więcej biernie niż czynnie. Hugo ginie dlatego, że wszedł w kolizją z kościołem, pokochawszy i uwiózłszy poświęconą mu dziewicę, Mnich usycha i więdnie jak palma stepowa wśród obcego świata dlatego, że niegdyś Beduin rzucił ojców swoich wiarę, i ściągnąwszy na siebie przekleństwo ojcowskie, mimowoli został ojcobójcą i bratobójcą. I te postacie jednak noszą na sobie piętno bajronizmu, o ile im je walka i cierpienie nadają.

(C. d. n.)

AUTOMATY.

(*Dokończenie*).

Ale nie tylko w starożytności wiele owoców zdumiewającej pracy i wyjątkowego dowcipu ginęło bez śladu dla nauki. Taż sama tajemniczość panowała jeszcze i w nowszych wiekach. Wynalazcy kryli się raz dla zysku, drugi raz dla bezpieczeństwa, ażeby zuchwalstwa swego nie przypłacić śmiercią na stosie. W owych czasach bowiem nawet widok mechanizmu i jego działania nie przeszkadzał ludziom oskarżać wynalazców o spółkę z szatanem. Dość wspomnieć historję zegaru norymberskiego, którą p. Rapacki zużytkował w pięknym swym dramacie: „Wit Stwosz.“

W wieku XVIII. do szczytu możliwej na ów czas doskonałości doszli w swoich automatach Vancanson i Droz.

Pierwszy zbudował między innemi kaczkę, która od żywej różniła się tylko tem... że nie żyła. Ale naśladownictwo nie tylko formy ale nawet funkcji było tak kompletne, że gdy ją samym tylko wzrokiem oceniano, musiano ją brać za żywą. Jadła ona i piła, a nawet trawiła objawiając dalsze tego procesu konsekwencje. Gardło, przełyk i cały przewód pokarmowy wraz z kiszkami były jak najwierniej naśladowane. Nadto z chwilą działania wchodziły w ruch wszystkie narządy dodatkowe. Kaczka wyciągała szyję do pokarmu ażeby go wziąć z ręki, poczem starcie i zamienienie pokarmu na papkę wreszcie strawienie go odbywały się przy pomocy wydzielin chemicznych, prawdopodobnie kwasu chlorowodorowego. „Wszystkie ruchy kaczki, która pochłania ze skwapliwością i która podwaja prędkość ruchu swego gardła, ażeby pokarm łatwiej się dostał do żołądka, były w niej oddane z uderzającą prawdą. Jednocześnie kaczka popijała, kwakała, poruszała skrzydłami i chodziła lub unosiła się na nogach.“

Drugiem arcydziełem Vancansona był flecista, ubrany za wieśniaka, który grał na flecie kilkanaście sztuczek poruszając odpowiednio palcami a drugą ręką od czasu do czasu uderzając w bęben. (Debay).

Droz posunął zuchwalstwo jeszcze dalej: zbudował chłopca, który pisał ręką na papierze, jak najlepszy kaligraf. Helmholtz który go widział, powiada że jego mechanizm zegarowy był tak skomplikowany, iż nie lada głowy potrzeba było nietylko na to ażeby go wymyśleć, ale nawet żeby go zrozumieć! Cóż chcecie! Inkwizycja hiszpańska nie mogła na to patrzeć obojętnie i choć to było już w XVIII. wieku, oskarżono go o „czarną sztukę“. Droza wpakowano do więzienia, z którego się dopiero po długich męczarniach wydostał.

A przecież są jeszcze ludzie, którzy tej nikczemnej instytucji żałują!

Podobny do powyższego automat ale jeszcze bardziej zdumiewający swoją prostotą, widziałem w Lipsku w r. 1872. Była to ręka czarodziejska *pisząca i rysująca na zadany temat*. Cały aparat przedstawiał rękę przed łokciem uciętą i osadzoną na metalowej podpórce. Trzymała ona w ręku pióro; z wierzchu pokryta była kloszem szklannym, a to wszystko stało na małym stoliczku o jednej nodze. Wolno było zażądać napisania jednego z głośniejszych imion własnych lub geograficznych, wyrysowania portretu jakiej znakomitości lub zwierzęcia według załączonych tablic. Zażądałem napisania wyrazu *Warszawa*. Natychmiast ręka poruszana całkiem niewidzialnym mechanizmem zaczęła się poruszać i pióro wyraźnym jednociągłym charakterem napisało: *Warszawa*. Później wyrysowało w moich oczach portret Bismarka z trzema historycznemi włoskami i kilka rysunków różnych zwierząt. W liniach prawidłowo łukowatych znać było mechanizm, niemniej jednak rezultaty były zdumiewające. Oczywiście wynalazca nie objaśniał tajemnicy i możemy tylko domyślać się, jak dowcipną musiała być ta kombinacja kółek zębatych, i szematów graficznych, skoro bez widocznego przyczyniania się wynalazcy, prawdopodobnie za naciśnięciem jakiejś ukrytej sprężyny, aparat był w stanie przynajmniej sto kilkadziesiąt różnych wyrazów i rysunków nakreślić. Tem więcej zaś zdumiewała jego prostota, ponieważ cały motor musiał być ukryty w grubości ręki, a jeżeli istniała jaka transmisja, to tylko przez pośrednictwo cienkiego pręta podstawki.

Maszyny piszące, poruszane przez nacisk klawiszów systemu Remingtona i innych, są już dzisiaj dosyć rozpowszechnione, ale tych działanie łatwiejsze jest do zrozumienia. Znaną jest również zasada elektro-magnetyczna niedawno wynalezionego telegrafu automatycznego *Cowpera*.

Przez dwustronną zmianę oporów elektrycznych i przez pośrednictwo igieł magnetycznych poruszanych temi zmiennemi prądami, ruchy pióra prowadzonego po papierze na jednej stacji zostają powtórzone przez podobne pióro na stacji drugiej, które w tejże chwili toż samo wypisuje.

Można więc pisać w jednem mieście siedząc w drugiem!

Ale wróćmy jeszcze do właściwych automatów.

Syn wspomnianego wyżej Droza nie zaniedbał sztuki ojca, tem więcej, że już nie potrzebował się lękać inkwizycji. Zbudował on pannę, która grała na fortepianie przebierając odpowiednio palcami po klawiaturze i śledząc wzrokiem ruchy rąk. Po skończeniu zaś sztuki odpowiadając na oklaski wstawała i kłaniała się publiczności....

Gdyby nie brak posagu i znajomości francuszczyzny stanowiłaby świetną partję!

Ale brak ten da się usunąć. Taka panna jest sama w sobie kapitałem, zaś znajomość języka francuskiego zaszczepiona jest w jednym takim automacie okazywanym obecnie w Paryżu. Figura, której krtań doskonale naśladuje ludzką, wymawia całe frazesy tak dokładnie, że sprawozdawca czasopisma „Nature“ posądzał wynalazcę o brzuchomówstwo. Później dopiero po sprawdzeniu, że mechanizm istnieje i sam działa, odwołano podejrzenie. Szczegóły jednak trzymane są dotychczas w tajemnicy.

Maszyny mówiące budowano już i dawniej

nawet, jednak najlepsza z nich, Fabera, wydawała głos nieczysty.

Toż samo powiedzieć należy i o fonografie Edisona, jako najprostszej maszynie powtarzającej odbite na cynfolji wyrazy. Ale nic nie ma niemożliwego dla genjuszu cierpliwości. Fonograf niewątpliwie prędzej lub później dojdzie do tej doskonałości, że będzie nam odczytywał książki i śpiewał opery.

A wtedy pozostanie już tylko jedno życzenie: wynaleść automat nie głupszy od przeciętnego człowieka, i któryby mógł w potrzebie myśleć za swego właściciela... Co za oszczędność dla państwa! Wszystkie biura możnaby zapełnić automatami, któreby pracowały — za darmo. Ale nie! wyobrażam sobie pana ministra skarbu, który z niezadowoleniem ten projekt przyjmuje:

— Cóż z tego — mówi on do siebie — że taki urzędnik nie brałby pensji, kiedyby *i podatku nie płacił!*

POZORY.

POWIEŚĆ

przez

WŁADYSŁAWA SABOWSKIEGO.

TOM DRUGI.

(*Ciąg dalszy.*)

IV.

Gdyby stosunek Niny do Emila nie był w naszej powieści tylko epizodem, któremu więcej miejsca poświęcić nie możemy jak na to całość obrazu pozwala, bylibyśmy obowiązani opisać szczegółowo jej najdrobniejsze fazy, wszystko to, co utrzymywało ich oboje we wzajemnem nierozumieniu swoich zamiarów i dążeń.

Nie mogąc tego uczynić, powiemy tylko, że komedja między baronówną i Rzewnickim w drugim akcie opierała się również jak w pierwszym na błędnem pojmowaniu się wzajemnem, na braniu za miłość tajoną i nieśmiałą tego, co było tylko przyjaźnią i za przyjaźń tego, czem się objawiały pierwsze tchnienia rodzącej się w sercu Niny miłości.

Komedja ta dość powoli biegła ku rozwiązaniu, ale w końcu mieć je musiała.

Pewnego pięknego poranku — jak lubi mówić Jean Paul — Emil wybiegł na miasto ulatwiwszy się z interesami, które go przykuwały do biurka i spieszył do Niny, która z despotyzmem pięknej kobiety na dzień ten nakazała mu wizytę.

Po drodze spotkał Natalię z matką. Droga ich szła w tę samą stronę, przyłączył się do nich i zaczęła się rozmowa, jedna z tych obojętnych rozmów towarzyskich, na których powtarzaniu najmniej podobno zależeć może czytelnikom powieści.

Nie uszli kilkudziesięciu kroków, kiedy Natalia instynktownie wsparła się na dłoni matki, zadrżała widocznie, pobladła.

Emil spojrzał na nią, spostrzegł wzruszenie, jakiego doznawała i przestraszony zawołał:

— Co pani?...

— Nic... — słabym głosem szepnęło dziewczę.

Nim ta odpowiedź z ust jej się wydobyła, już wzrok Emila mimowiednie zwrócony naprzód, ażeby wyśledzić przyczynę jej przerażenia czy innego uczucia, którego sobie wytłumaczyć nie umiał, ujrzał powód nagłej bladości i drżenia Natalii.

W niewielkiej odległości przed nimi znajdował się hrabia Gustaw. Szedł zrazu szybko jakby mu się spieszyło, ale nagle widać ujrzawszy kochankę i zastanawiając się jak ma postąpić, zwolnił kroku, tak że w jednej chwili chód jego stał się wolniejszym, od majestycznego posuwania się po chodniku wymaterjalnionej elegantki, która się pawi ogonem swej sukni i pragnie przechodzącym zostawić dość czasu do podziwiania swych wdzięków.

Balskie i Emil także instynktownie zwolnili kroku.

Spotkanie jednak zdawało się nieuchronnem. Jakkolwiek zwolna odległość się zmiejszała co chwila, za parę sekund nie mogło już być wątpliwości, czy Gustaw postanawia poznać czy niepoznać spotkanych.

W ciągu tych kilku sekund Gustaw walczył jeszcze z sobą widocznie.

Stanął na miejscu, wydobył zegarek spojrzał na godzinę, zdawało się, że coś sobie nagle przypomniał, bo zrobił pół obrotu w lewo, jakby chciał wrócić w stronę z której przyszedł...

Odstąpił jednak od zamiaru, zawstydził się myślą ucieczki. Z nagłą energią powziął stanowcze postanowienie i pewnym krokiem poszedł naprzód.

Wymijając spotkanych ukłonił się grzecznie, w milczeniu.

Emil uchylił kapelusza, Natalia odwróciła głowę i nie oddała ukłonu.

Cała ta milcząca scena była dla Rzewnickiego niepojętą. Jak wiemy trwał on ciągle w przekonaniu, że Gustaw jak tylko powróci do Warszawy, powróci i do Natalii i że ten powrót na nowo go od tej, przed którą serca swego odsłonić nie śmiał, odtrąci, bo sądził że do innego należała.

Najrozmaitsze uczucia tłoczyły się w jego piersi. Bywają chwile, w których człowiek zdolnym jest myśleć więcej i potężniej niż zwykle, w których jedno serce może pomieścić tysiąc uczuć sprzecznych, a jedna głowa tysiąc różnych rozumowań.

— Więc zerwanie między nimi stanowcze, chłodne, nieodwołalne... zna ją, lecz zostaje od niej zdaleka... kłania jej się bez słowa... ma coś na sumieniu, czemś względem niej przewinił, bo miał ochotę uciec... przewinił... przewinił oczywiście, bo ona nie oddała mu ukłonu... ha! roztrzaskam tego człowieka... Ale ona go kocha... bo zbladła, drżała, była pomieszaną... Co to wszystko znaczy? jak to wytłumaczyć, jak pojąć?... Co spowodowało zerwanie?... jego wyjazd?... jej chorobę?... Nie pojmuję... nie wiem... pytać mi się nie wolno... a przecież dałbym życie, gdybym mógł wiedzieć... czy mi jeszcze do niej droga otwarta, czy dzień dzisiejszy ma być dniem odrodzenia, czy też dniem pogrzebu nadziei?...

W takim chaotycznym bezładzie z szybkością błyskawicy snuły się myśli Emila.

Wypadało jednak się opamiętać. Natalia już ochłodła i pewniejszym krokiem szła dalej; Emil czuł, że zmięszaniem własnem nie powinien był zdradzać, że ujrzał jej pomięszanie i wzruszenie. Co chciała mieć tajemnicą, winno było tajemnicą pozostać — wdzierać się w tajnie jej duszy, zaglądać w głąb jej serca wbrew jej woli, nie miał prawa ani nie chciał.

Szli więc w milczeniu, które pierwsza pani Balska przerwała, zachęcona może do tego jakiem spojrzeniem Natalii, jednem z tych, które między osobami połączonemi węzłami serca, tak łatwo i tak doskonale mowę zastępować potrafią.

—Pan Gustaw zatem jest znowu w Warszawie, rzekła — patrząc na Emila.

— Widocznie — odpowiedział Rzewnicki niechętny że poruszono przedmiot, który na Natalii robił tak żywe i tak przykre wrażenie.

— Mamo nie mówmy lepiej o nim — z mniejszem daleko wzruszeniem niż się spodziewał Emil, odpowiedziała Natalia.

— Dlaczego — odrzekła matka — o ile mi wiadomo pan Emil nie wie, że zerwanie nasze z tym panem było stanowcze.

— Oh! bezpowrotne... mamo...

—I, że chociaż ci to boleść sprawiło... boleść ta przeminęła już dawno... dziś o niej nawet nie byłoby wspomnienia, gdyby go przypadek nie nastręczył, a jeśli po raz drugi zdarzy ci się go spotkać, to nawet wspomnienia nie będzie... Prawdaż Natalciu?...

—Ach! mamo... po co o nim wspominać?... Było to z mojej strony obłędem, za który rumienić się muszę.

Emil słuchał zdumiony. Nie wiedział czy się cieszyć czy oburzać...

Oburzenie pomogło.

— Ten nędznik śmiał obrazić panią — zawołał—ja go...

—Panie!—przerwała mu matka—wymownie spoglądając na córkę.

— Panie Emilu — rzekła Natalia podając mu rękę — dałeś nam tyle dowodów przyjaźni, daj jeden jeszcze: nie mów z nim o mnie, ani o nim ze mną.

—Mogę go ukarać, nie mówiąc z nim.

—Nie czyń pan tego... przebaczyłam mu to co zaszło i zapomniałam o nim.

— Zasłużył na pani pogardę?...

— Może... nie mówmy o tem... daj mi pan słowo, że się na tej naszej rozmowie cała ta sprawa zakończy.

Rzewnicki nie myślał dać słowa.

— Człowiekowi, który nadużył mego zaufania, który mojej znajomości użył na to, żeby dostać się do domu osoby którą ubóstwiam, za którą życie oddałbym z ochotą, kiedy tylko w ten sposób poświęcić je dla niej mi wolno, który dostał się do jej domu po to jedynie żeby ją obrazić. . przebaczyć nie mogę, pani.

W zapale oburzenia Emil nie wiedział, że wyznał tajemnicę, którą sobie taić poprzysiągł.

Nowe, inne tym razem wzruszenie Natalii ostrzegło go dopiero, że zapomniał panować nad sobą.

— Panie Emilu — szepnęła.

— Ach! pani wybacz... nie wiedziałem co mówię... nie powinienem był tego mówić, ale kiedym powiedział — stało się... powiedziałem co czułem... Ten kto cię kocha Natalio, tak jak ja kocham, chociaż bez nadziei —

nie może przebaczać ludziom którzy cię obrażają jak ten hrabia...

— Panie Emilu... — odpowiedziało dziewczę, któremu to niespodziewane wyznanie tajonej miłości sprawiło nieprzeczuwaną bynajmniej przyjemność,—panie Emilu... jeżeli tak jest jak powiadasz...

— Jest pani — przerwał rozgorączkowany — jest od pierwszej chwili jak cię ujrzałem, będzie do ostatniego uderzenia mojego serca, przy tobie czy zdaleka, w milczeniu czy głośno, przyjęty czy odrzucony, za przyjaźń twoją pani, płacić ci będę miłością czystą, świętą, wyrzekającą się wszystkiego, wszystkiego, nawet najodleglejszej nadziei szczęścia, nawet marzenia o tem, że mi przebaczysz kiedyś, iż cię ścigam uczuciem, któregoś podzielać nie mogła...

Ulica którą przechodzili była chwilowo pusta; nikt prócz matki i córki nie słyszał tych słów, które z piersi Emila wydarła wreszcie długo tłumiona namiętność; nikt z obojętnych przechodniów nie mógł w jego ruchach i twarzy odgadywać tajemnicy którą wyznawał. Gdyby jednak znajdowali się ludzie, kto wie czyby Emil zamilknął, kto wie także czy matka i córka byłyby mu nakazały milczenie.

Pani Balskiej, która z rozgłosem firmy Rzewnickiego traciła codzień bardziej uprzedzenie, jakie miała przeciwko niemu i zaczynała go uważać za partję odpowiednią dla Natalii, wyznanie to sprawiło radość niespodzianą, zbyt żywą, żeby ją opanować mogła. Natalię słowa Emila przejęły uczuciem, z którego nie umiała sobie zdać sprawy, którego nie pojmowała dobrze, o którem wiedziała tylko tyle, że go nie doznawała jeszcze nigdy, chociaż już niejedno wyznanie miłosne słyszeć miała sposobność i które dla niej było jakąś żywą, nową, nieokreśloną rozkoszą.

Serce jej biło mocno i szybko, na wargach drżały wyrazy których nie wymawiała, chociaż jej może zdawało się, że mówi, że ją Emil słyszy i pojmuje...

Chwila ubiegła — Rzewnicki ochłonął. Poniósł rękę do czoła, potarł je, jakby się chciał obudzić i zawołał:

— A! nieszczęśliwy... po co to mówiłem?...

— Nie żałuj pan żeś mówił...— szepnęła matka — Natalia moja...

— Panna Natalia nigdy mi nie przebaczy...

Milcząca dotąd dziewczyna teraz dopiero głos znalazła.

—Panie Emilu, nie o przebaczenie lękać się powinieneś... ale przebaczyć chyba...

— Ja, pani...

—Tak jest... są uczucia poczciwe, których nie godzi się odpychać... a ja aż dotąd pojąć nie umiałam pana...

— Panno Natalio... pani... — zawołał Rzewnicki — bądź ostrożną w wyrazach... pamiętaj, że i zbytek szczęścia zabija...

— Jabym chciała żebyś pan żył...

— Dla pani?...

—Dla mnie, dla świata dla wszystkich... Emil poniósł rękę Natalii do ust.

Szli jeszcze przez chwil kilka w milczeniu, szczęśliwi. One wreszcie zbliżyły się do domu, a on potrzebował się oddalić.

— Pamiętasz pan o danem słowie? — zapytała go na odchodnem panna Balska.

— Czyż może człowiek, który kocha, zapomnieć o zaprzysiężonej miłości?—zawołał ściskając jej dłoń Emil.

Natalia zarumieniła się lekko i odrzekła spuszczając oczy:

— Nie o tem mówiłam, panie Emilu... uczyń pan zadość mojej prośbie... w sprawie, o której mówiliśmy z sobą nie postąp w brew mojej woli.

Każdego innego na miejscu Emila byłyby przeraziły te słowa.

W chwili tak uroczystej słysząc z ust jego wyznanie miłości, której nie chciała odepchnąć, zaledwie obdarzywszy go nadzieją szczęścia, Natalia powracała do przestrogi, żeby na dawnym jej kochanku, na człowieku, który względem niej ciężko zawinił, nie poszukiwał jej obrazy czy krzywdy... Nieco więcej zazdrości w usposobieniu, nieco mniej wiary w czystość i zacność tej którą ukochał, a w duszy Emila byłoby się zrodziło podejrzenie i myśl jego musiałaby to podejrzenie zawrzeć w tych kilku wyrazach:

— Ona go kocha jeszcze!...

Z tych kilku wyrazów wypłynęłyby zaraz wnioski straszne, zabójcze:

— Kocha go, a więc nie kocha mnie... nie kocha mnie a nie odpycha... ma więc interes... byłem biedny, dziś jestem na drodze do wielkiego majątku... nie udało jej się z hrabią, więc poluje na mnie, biorąc mylnie majątek firmy na czele której stoję za moje mienie własne.

Charakter Emila nie dopuszczał takiego tłumaczenia zagadki, które zresztą byłoby błędne od początku do końca.

Natalia nie była spekulantką i nie odgrywała komedji. Wiemy już jakie okoliczności zbliżały ją do Emila i zjednywały mu jej przyjaźń codzień większą. W czasie powyższej rozmowy uderzyło jej wyobraźnię to, że Emil z taką szlachetnością gotów był karać Gustawa za przewinienie względem niej, przewinienie, którego rodzaju i wielkości badać nawet nie chciał i że w tym zapale pomszczenia wyrządzonej jej obrazy, nie był panem tajonego uczucia i wypowiedział je przed nią. Nie wiedziała, czy już to uczucie podziela, czytała jednak w swej duszy, że mogłaby je podzielić bez przymusu...

W tej myśli rozmawiała z Emilem. On jej słowa przyjmował jako balsam namaszczający duszę do nowego życia. Uznałby się nikczemnym, gdyby z troskliwości o nierozpoczynanie sprawy z Gustawem, wysnuwał jakiebądź podejrzenia. Wierzył i ufał, bo kochał prawdziwie, a z jego charakterem spokojnym i szlachetnym, człowiek który kocha, nie podejrzewa.

Rozkaz Natalii był dla niego świętym— o zemście nad Gustawem nie pomyślał nawet.

Inną jeszcze właściwością charakteru Emila było, że po rzadkich gorących chwilach swojego życia, odrazu umiał wracać do powszednich obowiązków i zajęć, nie bez pewnego przejęcia się doznanem wrażeniem, ale bez odurzenia, jak się to innym charakterom przytrafia.

Dusze ludzkie budzą się z marzeń tak jak ciała. Jedni po słodkim albo przykrym śnie długo jeszcze przecierają oczy, żeby zrozumieć, czy są w świecie fantazji czy na jawie; inni z otwarciem oczu zrywają się na równe nogi, trzeźwi, przytomni, choć im przy codziennych zajęciach senne wrażenia przypominają się niekiedy.

Emil należał do ostatnich.

Rozstawszy się z Natalią nie pobiegł pomiędzy kwiaty, żeby rozpamiętywać swoje szczęście, lecz przypomniał sobie odrazu, że winien złożyć obowiązkową, bo wyraźnie żądaną i przyobiecaną wizytę i że go potem czekają suche zajęcia kantoru.

Pospieszył do baronówny, a wszedł z takiem szczęściem na twarzy, że się aż zadziwiła i przelękła Nina. (C. d. n.)

LEONARD CHODŹKO

I JEGO PRACE

KRÓTKI RYS BIOGRAFICZNY I NAUKOWY

Skreślony przez

ALEKSANDRA WERNICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

XI.

Jednym z najważniejszych aktów komitetu narodowego było jego przemówienie do Anglików. W Anglji od upadku rzeczypospolitej tliły sprzyjające nam usposobienia nie w jednem sercu męża stanu. *Pitt* i *Fox* do takich należeli chociaż żadnego szylinga nie daliby na walkę orężną za Polskę. Słowa ostatniego: „Rachujcie na waszym patrjotyzmie, na waszej wytrwałości na ducha czasu, a potraficie zabezpieczyć wolność i niepodległość waszą..." dla wielu stały się dogmatem tem ważniejszym, że nawet *Rousseau* nie znalazł nic więcej do powiedzenia nad: „Nie przeszkodzicie temu, żeby was nie pożarli, starajcie się przynajmniej żeby was nie mogli strawić." To też tułacze nasi, wierzący w swój patrjotyzm, może nie zupełnie zdrowo pojmujący pole i zakres działania, musieli odwołać się do izb wielkiego i najwolniejszego narodu Europy.

Manifest sejmowy 20 Grudnia z 30 roku głosił: „Prawy Polak jeśli ulegnie, zginie z tą w sercu pociechą, że jeśli własnej wolności i ojczyzny uratować nie dozwoliły mu nieba, śmiertelną walką zasłonił przynajmniej na chwilę zagrożone europejskich ludów swobody." Stawiąc zaś na takiem stanowisku walkę, miał komitet nar. prawo poruszyć wszystkie uczucia i przekonać nasz naród, co też może liczyć na inne w przyszłej walce z barbarją. To też do izby niższej Irlandji i Wielkiej Brytanji podawano adres, wskutek wezwania do rad polskich po zakładach ustanowionych: „ojczyzna was do tego powołuje, na wszystkie synowskie zaklina was obowiązki, aby jednogłośnie w jej sprawach odzywać się.... W obecnej chwili.... stwierdźcie braterskie jednozgodne, odrodzenia ojczyzny żądze," — podpisało go przeszło dwa tysiące tułaczy we Francji.

Podpisów tych byłoby daleko więcej, ale już wtedy w całej sile istniały intrygi fakcji, która później ustatkowała się jako monarchiczna i skrystalizowała w towarzystwie trzeciego maja i królach *de facto* a w rzeczywistości *de facto et de jure* bez władzy jakiejkolwiek i gdziekolwiek. Wtedy to ministrowie spraw zagranicznych i wice-prezesi rządów narodowych odstręczali od podpisywania.

Dla wielu zdawało się, że podpisanie na adresie będzie już zgodzeniem się na ustawę organizacji narodowej, innym rozjeżdżający przeciwnicy komitetowi wmawiali nieużyteczność i nawet śmieszność tego kroku.

Jl. *Kniaziewicz* chciał jeszcze i wówczas posłować i jenerałować. Więc gdy *Horain* nadesłał podpisy zakładu z Lunel, a komitet o nie się upominał, odpisał: że takowe (podpisy) nadesłali szanowni wojownicy do decyzji rady generałów polskich, a gdy rada generałów nie istnieje, miał zaszczyt zwrócić kolegom w Lunel te podpisy wraz z oświadczeniem zdania swego osobistego co do adresu i jego podpisów." Ustnie zaś wystawiał szkodliwość działaniom dyplomatycznym podobnie jawnego kroku, a że adres dowodził, że Polacy nie zadowolnią się traktatem wiedeńskim, przedstawiciel więc tajemniczej knowającej dyplomacji dowodził możebności przeszkodzenia zdobyciu czegośkolwiek dla Kongresowej Polski.

Milczeć jednakże komitetowi narodowemu i wychodźtwu nie wypadało. W Anglji bowiem wzmagał się się coraz bardziej ruch za naszą sprawą, ale w pojęciach ówczesnych tam nie myślano, byśmy o cośkolwiek więcej dbać mogli jak o wyżebranie u Mikołaja przywrócenia łamanych uchwał traktatu wiedeńskiego i amnestji dla walczących za sprawę narodu.

Powstanie Polski należało wykazać tak jak postawiła go noc listopadowa, w świetle jakie rzuciły błyski strzałów pod Belwederem i łuna pożarna na Nalewkach. Dlatego to dla oświecenia opinji pojechali do Londynu jenerałowie i wojewodowie *Pac* i *Ostrowski*, jenerał *Rybiński*, poseł Władysław *Plater* i inni. Tam też przy współudziale komitetów i ludzi stanu ułożono ten adres ludu angielskiego do izb w sprawie naszej, który podpisało przeszło 100 tysięcy ludności, i który dzisiaj zwojami swymi zadziwia oglądających muzeum w Raperswil.

Przed temi samemi izbami wychodźcy nasi pierwej stanęli ze swym manifestem; a w nim nie w łachmanach żebraczych, ale z całą godnością przemawiają: pozbawieni swojej ojczyzny.... podnoszą głos, nie o litość, ale o swoje prawa; o prawa ludów, prawa ludzkości, które obojętna Europa przez lat sześćdziesiąt samowładzcom znieważać dozwala.... Prześladowani, przynosimy pod rozstrzygnięcie reprezentantów W. Brytanji, ważne pytanie: czy zbrodnia podziału Polski ma na zawsze zostać prawem, czy despotom przyzna wolna Europa moc rozszarpywania ludów, niszczenia niepodległości i bytu narodu, za którym przemawia dziesięć wieków politycznego istnienia?" Ówczesna polityka narodowa nie pojmowała, że wina upadku leży znacznie i na przywarach i grzechach przestarzałych samego narodu i że zanim wybije chwila odpuszczenia win, samowiedza powinna wykazać jak rachunek sumienia, te grzechy społeczne. To też manifest ubolewa głównie na chytrość i zdrady zaborców i na niewinną ofiarę tych zdrad Polskę. Jednak Anglikom przeciera oczy, że kongres wiedeński był *6tym rozbiorem kraju*, a śród rozumowania rzuca wzniosłe myśli: wykazuje, że Moskwa nie przestanie się wdzierać w Azję aż uderzy o granice indyjskie Anglji, jeżeli między Moskwą, a Europą zagrożoną nie stanie państwo polskie. „Rewolucją 29 listopada dowiódł naród, że liczy na swoje siły, i że z jarzma wydobyć się może..... Nad Wisłą objawiające się w Kongresowem królestwie powstanie, powołało do działania cały naród." A jakby przeczuwając potrzebę przekonywania „rubasznych czerepów" szlacheckich naszych w 40 lat później, już wtedy odezwa do Anglików napisała: „święty ogień, którego już na ołtarzu ojczyzny zapalać nie było wolno, potajemnie tlał w piersiach prawych, i jedna myśl wszystkim była wspólną, czekał tylko naród sposobności *do powstania, do zrzucenia jarzma, i w tej chwili ucisku, równie jest gotów* i oczekuje od was reprezentanci ludu Wielkiej Brytanji, abyście mu do tego podali sposobność"..... „Lud wolny, na przymierzu i wsparciu tylko jemu podobnego ludu pokładać może nadzieje.... a jeżeli W. Bryt. należy sława zniszczenia ohydnego handlu ludźmi, dla niej pozostaje do pozyskania chwała zniszczenia stokroć ohydniejszego handlu narodami."

Długi ten manifest, z którego małe wyjątki zrobiłem, po podpisaniu przez 2000 z górą tułaczów z różnych zakładów, z datą 29 Maja 1832, wysłano jako zapowiedź, że naród *czeka tylko sposobności i równie jest gotów do powstania*. Nad aktem unosił się genjusz rzeczpospolitej i przymocowany krajobraz ziem Polskiego państwa (Dufour i Chodźko).

Zaraz po powstaniu przebudzało się współczucie dla naszych wychodźców w niektórych sercach angielskich. Na ręce komitetu narodowego składkę uzbieraną oddawał *Morning Herald* 340 fs. a zbierały i inne dzienniki. Zostawało spotęgować rozbudzone zajęcie się sprawą. Kom. Nar. używa wszelkich środków do tego celu. *Dufour* naprz. pozwala odbić na korzyść Polaków pewną liczbę egzemplarzy swej mapy Polski, komitet posyła te egzemplarze „różnym ludziom stanu w Anglji na losy Polski wpływać mogącym, za sprawą Polski przemawiającym," a za takich uznaje *Durhama*, *Cutlara*, *Fergussona* i t. p. Józ. Nep. *Czapski* na schadzkach Londyńskich*) „piorunował na dyplomację i kongres wiedeński," *Sadowski* i *Parczewski* obudzali potrzebę podawania petycji za Polską. Z Paryża zaś wszystkie towarzystwa wysyłały swych w tym celu agitatorów. Towarzystwo demokratycze wysłało *Gurowskiego* Adama, komitet nar. Kar. Ed. *Wodzińskiego*. Niemcewicz stary jeździ do różnych miast i tam przemawia do ludu śród zapału.**) Sam *Czartoryski* tłukł się śród pokoi lordowskich, łudząc innych: „że jego imię i wpływ łatwo trafić mogły do pierwszych osób parlamentu i ministerjum."

Wówczas powstało towarzystwo przyjaciół Polski pod przewodnictwem Tomasza *Campbell*. Dzienniki wskutek tych agitacji poczęły się napełniać artykułami o Polsce i adres posłany przez wychodźców prawie w nich wszystkich był przedrukowanym. Razem zaś z samym adresem posłano list do *Ebringtona*, wzywając by zechciał go wnieść do izby niższej.

Nadrukowany na pysznym, ozdobnym grawiurą Ant. Oleszczyńskiego papierze akt rozdano posłom w parlamencie zaledwie przed samym rozpoczęciem obrad, gdy już *Fergusson* stawiał wniosek. W sporach z tego powodu manifest bardzo wiele się przysłużył, bo *O'Connel*, *Hume* i najbardziej *Evans* przemawiali już nie za Kongresówką w Wiedniu nakreśloną, ale za niespożytemi prawami narodu i o tyranji brudnej Mikołaja, a *Wyse* (Wajs) dodał: „Z Izby tej rzucamy ziarna, które później w dogodnej porze wyrosną w drzewa, i wydadzą owoce moralnego odrodzenia się..... zaszczepiamy to przekonanie, że *ludy powinowaci wolność* i z tego to Polska może oczekiwać i nie na próżno oczekiwać, pomsty za swoje krzywdy i prędkiego powrotu do wielkiej rodziny narodów." Komitet narodowy pisał podziękowanie O'Connelowi z prośbą o komunikowanie go innym obrońcom sprawy naszej.

*) Spraw. Kom. Nar.

**) Polonia. or monthly reports on Polish affairs. Sierpień str. 43, 44.

Tymczasem zaczynały się petycje samych Anglików. Związek birminghamski najczynniej występuje. Józef Nep. Czapski tam przemawia i w Birmingham pierwszą wystosowano do izb petycję. „Ludowi Wielkiej Brytanji, jako wolnemu ludowi, pozostają do obrony inne jeszcze sprawy i święte do spełnienia obowiązki. Sławni choć nieszczęśliwi Polscy wygnańcy...... odezwali się do was za pośrednictwem waszych reprezentantów w parlamencie. Proszą was, abyście obstali za wiarą traktatów i wyrzekli, że jeszcze Polska nie zginęła. W imię wolności, ludzkości i sprawiedliwości, w imię waszego własnego honoru i waszego własnego bezpieczeństwa, z ufnością odzywamy się do was, że im odpowiecie na ich głos, jak przystoi pierwszemu z narodów, jak przystoi mieszkańcom rodzinnej ziemi wolności."

A wystawiwszy walkę naszą i że „nieszczęściem dla Europy nie wymierzono wówczas sprawiedliwości Polsce, chociaż interesa tego nieszczęśliwego kraju nie były zupełnie zaniedbane" i chociaż na Kongresie Wiedeńskim "zaręczono Polakom pewien stopień wolności," a nawet Kongresówce „zapewniając mieszkańcom narodowe prawa i zwyczaje, tudzież wojska narodowe i reprezentacyjny kształt narodu" pod gwarancją Anglji i Francji; jednak nadużycia wszystko odebrały. Birminghamczycy więc piszą: „Wasz wzniosły umysł nie dozwoli wam patrzeć obojętnie na tyle okrucieństw popełnianych na Polakach, na tyle obelg przeciwko wam samym wymierzanych. Pomnijcie że tu idzie.... o wasz interes, a może i własną waszą wolność. Walka na stałym lądzie nie toczy się między narodem a narodem, *lecz między wolnością a niewolą*. Już sprzysiężeni samowładzcy zmawiają się z sobą o przytłumienie wolności Niemiec...... *Kiedy się despoci zmawiają, ludy łączyć się powinny*, inaczej próżna nadzieja podźwignienia wolności," i wzywa o upomnienie się u rządu by domagał się dotrzymania traktatów i *przywrócenia Polsce niepodległości*.**) Wedle sprawozdania Wodzińskiego takież adresy podano z *Knigston upon Hull*, z *Bristol*, *Mettok*, *Bridżwater*, *Lid*, *Manczester*. *Niu-Sarum*, *Rajd*, *Sidmat*, *Krediton* i kilku innych miast z Dewonsziru i Kentsziru. W *Lid* na mitingu, gdzie brał udział członek komitetu *Plater* i gdzie sprawę Polski postawiono jako sprawę wolności, robiono mocne napady na nadużycia władz despotycznych, narzekano na królów, imperatorów, tyranów, arystokratów „jako w każdym wieku do ćwiartowania ludu pochopnych," a podnosząc dawne krzywdy rzeczpospolitej, petycja wystosowana wnosi *o potrzebie udzielnego od Rossji królestwa*.**) W *Bridżwater* zażądano od rządu *wskrzeszenia niepodległości Polsce oraz prowincjom wcielonym do Rossji*. Adres tego miasta najładniejszy. Tam zrozumiano, że „Królestwo miało być złączone z Rossją, nie więzami arbitralnej władzy, lecz ogniwem własnej swej konstytucji," że nie dopełniając praw rząd *stracił prawo* do korony. Głęboko pomyślanem jest zakończenie tego adresu do izb, podanego przez ręce lorda *Feinham* i ob. *Hum*. „Dla tego pokornie, pisze Bridżwater, upraszamy szanowne Izby, aby mając na uwadze powyższe względy, upomniały się jak tego honor i interes W. Brytanji,

*) Adres Birminghamu w spr. kom. nar.

**) Polonia or monthly reports, str. 99—121.

jak wiara traktatów wymaga, *o przywrócenie niepodległości Polsce oraz prowincyom wcielonym do Rossji, lecz nie w ten sposób, aby pozostać miały pod panowaniem wiarołomnego i okrutnego cara*, który pogwałciwszy zobowiązania, stracił prawo do korony polskiej i który, *jeżeli mu dozwolonem będzie kraje te posiadać, wywoła tylko uciskiem swoim nowy opór, i przedstawi znowu widok wojny domowej i tych spustoszeń, które krzywdzą cywilizację wieku*, podają w niepewność pokój Europy i zasmucają ludzkość.“*) Trzeba podziwiać to pojęcie sprawy i przewidywanie nieuchronnych powstań w przyszłości jeżeli przyczyny tej ich nieprzerwalności nie przerwą się.

Mniej więcej podobne adresy podawane były jeszcze z *Hull* (patrz The Hull Polish record. n. 1. aug) z *Chatham* (Czatam), Rochester (Roczester) i t. p. Adres ten miał wielki wpływ na Izby. Gdy *Fergussen* z namowy Czartoryskiego użalał się na złamanie przez Mikołaja traktatu wiedeńskiego, wtedy natchniony adresem *O'Connel* po raz pierwszy z trybuny angielskiej powiedział te pamiętne słowa: „Traktat wiedeński nie miał lepszego prawa do oddania Polski Moskwie nad to, jakie ma tłum rozbójników do dzielenia między siebie obdartego wędrownika, i nie będzie pokoju i bezpieczeństwa dla Europy, dopóki lud ten do pierwszego nie powróci stanu; dopóki należnego sobie miejsca nie zajmie w Europie: a demokratyczne zasady, wskażą miejsce właściwe Moskwie i jej zbrodniom, a Polsce życie przywrócą.“**)

The *Times* z 2 lipca 1832 nazywając manifest Polaków do izb silnym i gorącym, uważa go za odezwę cywilizowanego świata przeciwko Rossji. „Jest to dokument, mówi on, którego żaden Anglik bez wzruszenia czytać nie może. Jest to pismo którego żaden człowiek chcący reprezentować lud Wielkiej Brytanji lekceważyć nie może. Jest tak ugruntowane na rozumie, natchnione patrjotyzmem i cnotą, że żaden statysta europejski nie może mu odmówić pilnej i głębokiej rozwagi.“

Niemniej potężny organ *Kurjer Angielski*, party opinją powszechną mityngów i sporami w parlamencie, wychwalając adres mówi: „W wieku, w którym opinja polityczna jest prawdziwą władzą, nie wahamy się w przekonaniu, że widok tak często przedstawiony Europie, narodu obdarzonego tak wielkiemi cnotami i tak uciśnionego, sprawi prędzej lub później pomyślny skutek..... Polska zawsze była uczynna dla Europy: lecz za to znalazła w mocarstwach Europy ciemiężców, albo obojętnych widzów jej cierpień. To obudziło gniew i najczystsze współczucie między ludami. Od ludów to współczucie przejdzie do rządów jeśli się nie zechcą uważać za współuczestników zbrodni, którą się zdają podzielać przez samą obojętność.“ We cztery dni później *Constitutionel* zamieścił wychodźczy manifest po francusku i wyrzekł; „że akt ten przyłożył się do podniesienia pamiętnej dyskusji. Akt ten tak silny i treściwy musiał sprawić w parlamencie silne wrażenie.... Nie ma tam zgoła próżnych przechwałek, żadnych zażaleń skarżących, żadnych gróźb bezsilnych.... Żadnego szemrania *na owego męża tyle niewdzięcznego*, ile się często okazał genjusz tego Messjasza *Napoleona*, któremu Polska ufała, winnego przeciwko niej za wszelkie dobro, którego nie zdziałał, za całą narodowość, którąby mógł jej wrócić....“

Słowem adres Polaków, redagowany w komitecie narodowym zbiorowo przez członków jego, skierował cały ruch w Anglji na naszą korzyść i jak widzieliśmy wywołał tyle życia. Wszystkie te akta były tłumaczone dla dzienników francuskich przez Chodźkę i dla tego to jego praca w komitecie była dość znaczna.

Jeżeli była tak wielka doniosłość wpływu komitetu na wyrobienie opinji w Anglji, to musiała ona być daleko większą we Francji. Przejdźmy więc do obejrzenia tych prac choć bardzo pobieżnie, nie wątpiąc że i tam odszukamy szczegóły ciekawe. (C. d. n.)

*) Somerset Gazett. aug. 23

**) Głos O'Connela w pismach towarzystwa D. str 91. Uwagi nad manifestem t. D. str. 28.

Piśmiennictwo francuskie.

Histoire de la Russie przez p. *Alfreda Rambaud; Histoire de la Litterature contemporaine chez les Slaves*; przez p. *C. Courrière; Histoire de l'Autriche-Hongrie* przez p. *Ludwika Léger*.

(Ciąg dalszy).

Praca pana A. R., aczkolwiek jest streszczeniem historycznem, byłaby wielce pożyteczną, gdyby miała na celu nauczanie, nie zaś propagandę polityczną, gwoli której dopuścił się autor uchybień nie mało przeciwko prawdzie dziejowej. Najważniejsze, zasadnicze uchybienie odnosi się do filozofii historji. Zadaniem narodów jest rozwój społeczny na drodze postępu cywilizacyjnego, nie zaś to, jakie p. A. R. przyznaje Rosji, które uzewnętrznia się dążnością w trzech kierunkach: parciem się do granic morskich, zaborami w Azji i w Turcji i wiekowym pojedynkiem z Polsko-Litwą. Dążność ta, czysto państwowa, jest niczem innem, jeno sięganiem po cudzą własność, nie mającem racji innej, tylko możliwość. Co mogła, to zabierała. Rosja we względzie tym nie stanowi wprawdzie wyjątku; zabierały i inne państwa; do podziałów Polski spólników znalazła, bez szukania takowych: to atoli nie uwalnia historyka od przymierzania faktów do zasady ogólnej i zaznaczania odstępstw od takowej. Na drodze rozwoju była Rosja czynnikiem ujemnym, przynoszącym ludzkości szkodę, nie korzyść. Nienawiść jej względem Polski pochodzi nie tyle ze spółzawodnictwa państwowego, które ze strony Polski manifestowało się bardzo słabo i wcale nie wyzywająco, co ztąd, że Polska społecznie i politycznie na wręcz przeciwnej rozwijała się zasadzie. Tu wolność, tu niewola. Polska przedstawiała w sobie rodzinę słowiańską, która, rozradzając się pokoleniami, w formach państwowych, przechodziła przez różne fazy społecznego ustroju, wedle praw dynamiki społecznej. Raz postępowała naprzód, znów się cofała, czerpała zasoby z pierwocin własnych rodzimych, lub zapożyczała je, a zawsze piastowała w łonie swojem pierwiastek swobody, bez której rozwój postępowy niezmiernie jest trudnym. Szkodę sprawiała sobie; rozwojowi ludzkościowemu najmniejszej — owszem: jeżeli weźmiem na uwagę fakty takie, jak użyczony sektom prześladowanym przytułek, jak odpór orężny dawany islamizmowi i moskwicizmowi, jak wyhodowanie takiego Kopernika i osłonięcie opieką takiego Komeńskiego, to nie można jej odmówić pewnych zasług cywilizacyjnych, wysnuwających się bezpośrednio z obcych zgoła Moskwie pierwiastków swobody, rozkwitających i do zbytku bujających tuż, o miedzę, obok posępnego państwa carów. Ztądto, nie zkąd inąd, wzięła się w państwie tem nienawiść do Polski. Obawiali się władcy Moskwy w państwie swojem zarazy swobody: szańcowali się przeciwko niej religią, ustawodawstwem, wszystkiem czem mogli i usiłowali stłumić ją w Polsce. Walka o zasady wszczęła się niezwłocznie, jak skoro Moskwa pozbyła się opieki tatarskiej, trwała nieprzerwanie przez ciąg trzech wieków i nie zakończyła się dziś nawet, po upływie stu lat od pierwszego Polski podziału.

Gdyby p. A. R, pisząc historję Rosji, wolnym był od tendencji politycznej, natchnionej przez patrjotyzm okolicznościowy, to byłby umiał widzieć i ocenić istotę antagonizmu pomiędzy Polską a Moskwą; i rzekome *rewindykacje* w innem przedstawiłyby się mu świetle; i nie odsadzałby Polski od praw do Litwy i Rusi pod pretekstem, że w tych dawniej rzeczypospolitej częściach składowych nie ma narodu polskiego; i nie widziałby w prowincjach tych narodu rosyjskiego; i nie popełniałby błędów takich, jak ten np., że Wiedeń wyswobodził Sobieski *avec les Russes*. Widziałby też palec polski w wyzwoleniu włościan przez Aleksandra II, w palcu zaś tym ciąg dalszy walki pomiędzy zasadą polską a zasadą moskiewską, czyli, wyrażając się terminem ścientyficznym, pomiędzy pierwiastkiem ruchu dynamicznego a pierwiastkiem ruchu statycznego. Francuz historyk powinien był widzieć to wszystko i oddać *suum cuique*.

Wszakże, prawda wyznać nakazuje, że o ile w granicach tendencji bezstronnym być można, o tyle pan A. R. bezstronnym jest względem Polski.

Dodamy jeszcze, że pomiędzy pracą pana A. Rambaud a pracą profesora A. Bobrzyńskiego zachodzi analogja bardzo wyraźna. Jednej i drugiej przedmiotem jest władza monarchiczna; jedna i druga władzę silną dogmatyzuje; jedna i druga historjozofię gwałci: zdaje się nawet że pierwsza drugiej za wzór służyła. Nowa szkoła historyczna polska, *nieromantyczna*, dziwnie jest podobną do *romantycznej* szkoły francuskiej. Romantyzm tej ostatniej polega na usiłowaniu zjednania Moskwy dla odwetowych widoków francuskich. Ponoś bezpieczniej by było nie łudzić się nadziejami podobnemi, licząc raczej na siły własne, urabiające się na republikańskim gruncie, aniżeli na przymierze Moskwy. W Moskwie władza silna wysiliła się w Mikołaju i obecnie znajduje się w stanie rozkładu. Nie przeobraża się, ale rozkłada — gnije — dozorowana przez Niemcy, które Moskwę w arendzie dzierżą. „Historja ludu rosyjskiego zaczyna się“ — to prawda, ale, pytanie ważne: w jaki sposób?

Postawiwszy pytanie to, nad którem radzilibyśmy panu Rambaud zastanowić się, przechodzimy do drugiej podobnąż tendencją zaznaczonej książki: *Historja literatury społecznej u Słowian*, przez pana *C. Courrière*, członka komitetu słowiańskiego w Kijowie. Dzieło to do tej samej kollekcji wydawniczej należy, co i poprzednie. Autor onego lat temu trzy czy cztery ogłosił Historją literatury spółczesnej rosyjskiej i, jak sam w przedmowie powiada, nie miał zamiaru pisać historji literatury słowiańskiej. Zamiar ten przyszedł mu niespodzianie — zapewne obstalunek otrzymał: siadł więc, napisał i do druku dał. Niespodzianość owa odbija się na wykonaniu, będącem niczem innem, jeno przyozdobionem tu i owdzie nie zawsze szczęśliwemi własnemi lub też podpowiadanemi spostrzeżeniami, skróceniem pracy Pypina i Spasowicza. Do pomocy bierze niekiedy i innych autorów: np., w historji lite-

ratury polskiej dopatrzyliśmy śladów podręcznika Kuliczkowskiego. Zrobił, słowem, to, co Francuzi nazywają *triage*: z kilku historyj sfabrykował historję i przyprawił ją sosem tendencyjnym. O pracy samoistnej, o tem żeby miał krytycznie materjał analizować, i mowy być nie może. Nie miał na to czasu: w lat trzy odbyć pracy ogrom taki, jest to niemożliwością absolutną, tem bardziej gdy się nie zna języków narodów, których historję literatury się pisze. Że zaś panu C. C. znanemi są nie wszystkie języki słowiańskie, przekonywa nas o tem tłumaczenie wyrazów niektórych, jak n. p: wyrazy serbskie *delia diewojka* znaczą u niego *jenne fille*; wyrazy i pojęcie czysto moskiewskie *krugowaja poruka* lokuje w Czechach, i t. p. Czy wydawało się panu C. C., że praca jego Słowianinowi żadnemu do rąk się nie dostanie? Pisał dla Francuzów ze stanowiska *Nord'a*, chodziło mu więc o co innego, nie o historję.

Historja ta nie obejmuje literatury moskiewskiej, której autor osobną poświęcił książkę, ani też ruskiej (ukraińskiej), nie istniejącej wedle ukazu z r. 1874. Białoruś nie figuruje także dla tego zapewne że ją uważa za odmianę Wielkorusi. Wielkorusów z Białorusami i Małorusów zalicza do Słowian Wschodnich: Słowianami Zachodnimi są Polacy, Czechowie, Serbo-Łużyczanie i Słowacy; do Słowian Południowych należą Bułgarowie, Serbowie, Kroaci i Słoweno-Korutanie. Ze wschodnich jedni tylko Rusini galicyjscy mają w dziele pana C. C. kartę swoją; reszta pracy poświęconą jest Słowianom południowym i zachodnim.

Nie będziemy za autorem przechodzili literatury po literaturze, a zajmiemy się tą, która nas dotyczy najbliżej. Nie możemy jednak powstrzymać się od wytknięcia mu błędu, jakiego dopuścił się we względzie literatury serbskiej, przedstawiając ją jako całość jednolitą, od chwili wystąpienia onej, po odzyskaniu przez Serbję niepodległości narodowej, do momentu dzisiejszego. Dosyteja Obradowicza w jednym stawia szeregu z Wukiem Karadżiczem, nie wspominając o tem, że ten ostatni sprawił radykalny w literaturze serbskiej zwrot — stworzył literaturę narodową — wynalazł język serbski. Przed nim Serbowie fabrykowali sobie język pismienny na podstawie moskiewskiego, modyfikowanego przez cerkiewno-słowiański. Moskalom bardzo chodziło o utrzymanie tego żargonu literackiego. Wuk Karadżicz dokonał rewolucji, która w swoim czasie wiele prześladowań na niego ściągnęła, dzięki której atoli cała literatura poprzednia stała się bibliograficznym ballastem. Pypin zaznacza to wystąpienie Wuka, nazywa je niepotrzebnem zaburzeniem i przypisuje mu doniosłość ortograficzną tylko. Pan C. Courriere, skracając Pypina, doniosłość tę miał widocznie za tak małoważną, że ją nawet opuścił — i dał przez to spółziomkom swoim obraz literatury fałszywy.

Literatury bułgarską, kroacką, korutańską, ruską, łużycką i słowacką pomijamy, a rzucimy okiem na polską.

Tej ostatniej historję haftuje pan C. C. na kanwie polityczno-społecznej, poprzedzając ją rodzajem wyznania wiary, brzmiącego jak następuje: „Uważam kraje te (mowa o Moskwie) jako zupełnie słowiańskie i nie chodzi mi bynajmniej o zaliczanie się do uczniów pana Duchińskiego, obok p. p. Martin Viquesnil etc. Głównym argumentem tej szkoły, odnoszącej Rosjan do Turanów, jest że carowie moskiewscy i poddani ich nie pochodzili od Rurykowiczów kijowskich ani od Słowian, nad którymi panowali ci ostatni.“ Co do zaliczania się do szkoły obok Martinów i Viquesnilów, to panu Couriérre potrzebaby dokonać czegoś więcej nad skracanie skróceń, ażeby się stać godnym wiązać tym panom rzemyki u trzewików; co zaś do argumentu, to przytoczenie onego dowodzi jeno, że szanowny nasz autor wie o szkole Ducheńskiego ze słyszenia od tych, co sami o niej pojęcia nie mieli.

Charakteryzując literatury słowiańskie, tak się o polskiej wyraża:

„Polska, mimo że zupełnie wpływowi łacinizmu podległa, posiada najświetniejszą klasyczną i romantyczną literaturę. Lecz, jak w szlachcicu polskim, którego ona przedstawia życie i tendencje, tak w niej słowiańskiego nie ma nic!!! Zapewne, Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, etc., wytrzymać mogą porównanie z największymi poetami, lecz lud polski nie zna ich, a zresztą nie pisali oni dla niego. Lud ten ma literaturę własną, spiewki i krakowiaki. B. Zalewski narodowym jest i słowiańskim, lecz to poeta ukraiński.“

Owóż Polacy mają za swoje! Ponieważ Duchiński odsądził Moskali od ariaizmu, więc pan C. Courriere odsądził literaturę polską od słowianizmu. Mimo to, historję literatury polskiej napisał i wśród literatur słowiańskich umieścił w całości od początków onej po dzień dzisiejszy. Historja ta nie jest dla nas ciekawą, powtarza bowiem rzeczy znane, illustrując takowe omyłkami, pochodzącemi z nieznajomości przedmiotu. I tak np., mówiąc o akademji krakowskiej wymienia uczniów onej, Jana z Głogowa, Marcina z Olkusza, Grzegorza z Sanoka, Kopernika i przed Kopernikiem Ciołka Vitelliona, który umarł przed tem nim akademja założoną została. Omyłek podobnych pełno. Pochodzą one nie zkąd inąd, jeno z pospiechu, boć łatwo było ustrzedz się takowych, radząc się bodaj Łukaszewicza. (C. d. n.)

FRAGMENT.

(Z pieśni żołnierskich Pawła Déroulède).

Tak jest! i nasze dzieje miecz wypisał krwawy,
Śladem naszych pochodów wzrastały mogiły,
Lecz choć żołnierz narzucał światu swe ustawy —
Pod traktatem bagnetów lśniła pieczęć sławy,
I prawa zwyciężonych zawsze prawem były.

Gdyśmy szli, drżały ludy jak liście jesieni;
Lecz od Karla, skończywszy na Napoleonie,
Żołnierze szli nie żądzą łupieży wiedzeni —
Byliśmy pogromcami królów, nie kieszeni —
Bo dla złodziei nie masz miejsca w Panteonie.

H... s.

Z GOETHE'GO.

Poszedłem sobie
Do lasu raz;
Od tak, bez celu,
By zabić czas.

Tam w pośród trawek
Kwiatuszek rósł:
Jak gwiazdki, lśniące
Oczęta wzniósł —

I gdym się schylił,
Odzywa się:
„Czy abym uwiądł
Chcesz zerwać mnie?“

Wziąłem go z ziemią,
Niosłem nad zdrój,
W cichy ogródek
Gdzie domek mój —

I zasadziłem
W cieniu, gdzie chłód,
I wciąż się krzewi,
Kwitnie jak wprzód...

R....

UKRYTE SKARBY

POWIEŚĆ

SALWATORA FARINA

przekład

A. CALLIER.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XXVI.

Stary, błyszczący, żywiczny torf.

Federico wstał już od godziny, naprzód odwiedził kwiaty w oranżerji, przy czem pomyślał sobie w duchu, że kwiaty i oranżerja już nie są jego własnością; teraz wszedł do swego muzeum i przyglądał się krzemieniom, jedynemu dziedzictwu po przodkach, które prawdopodobnie oszczędzi chciwa łupów ręka wierzycieli.

Naraz wszedł inżynier, z szumem i łoskotem jak letnia burza, kryjąca deszcz słów pociechy.

Bądź dobrej myśli! — zawołał odstawiając na bok napełnioną torfem retortę, by uścisnąć przyjaciela — bądź dobrej myśli!

— Zawszem wesół przecież! — odpowiedział Federico, ale ton jakim wymówił te słowa, zadawał kłam ich myśli.

— Jutro możesz sobie być smutny ile zechcesz — ciągnął dalej Enea — ale dziś musisz być wesołym szalenie, musisz śmiać się aż do pustoty — słyszysz? proszę cię o to. Czy ty wiesz jeszcze jak to się przewraca koziołki? Tak!... patrzaj...

Za radą poszedł przykład. Potem otrzepał z sukien ślady gimnastycznych swych ćwiczeń, włożył napowrót do kieszeni zegarek, który na niezwykły ten moment w życiu swego inżyniera nie pozostał obojętnym, ale aż wypadł z podziwu na ziemię i rzekł już najpoważniej:

— Kochany Federico, nie jesteś już tem... czem byłeś wczoraj jeszcze.

Federico miał wszelką przyczynę lękania się, że i Enea nie był już tem... czem był wczoraj jeszcze, i popatrzał na niego wielkiemi oczyma.

— Poddałem torf twój sumiennej analizie, uważajże teraz z czego się składa: pięćdziesiąt procent włókien drzewnych, dwanaście humusu, sześć żywicy, pół procent parafiny, dwie części gliny, trzynaście wody — co ty mówisz na to?

— Nie byłbym nigdy przeczuł — odpowiedział Federico — a co to oznacza?

— To oznacza najlepszy torf, stary, błyszczący, żywiczny torf, dopiero co go zgasiłem, palił się jak cygaro — potrzebujesz tylko...

— A potem?

— Potem dokładnie zbadałem twą posiadłość; od wybrzeża jeziora z jakie sto metrów przynajmniej leży pokład najpyszniejszego, starego, błyszczącego, żywicznego torfu, pokryty cieniutką ledwo warstwą ziemi; nie podlega to już żadnej wątpliwości.

— I w następstwie tego cóż?

— W następstwie tego nie jesteś już.. ubogim — teraz wolno mi już to wypowiedzieć — nie, nie jesteś już ubogim, bo twoja posiadłość jest co najmniej dwa razy tyle warta. No, a teraz uczyń mi tę łaskę i rozśmiej się!

Ale Federico pozostał poważnym.

— Śmiejże się, mówię ci — czemuż się nie śmiejesz? Czyś jeszcze nie zadowolony?

— Wysoce zadowolony; wyobrażaj sobie, że się śmieję... Ale czy tylko mówisz mi szczerą prawdę? Czy nie szydzisz, by się pomścić na mnie?

— A czemuż miałbym się mścić na tobie? za co? — spytał Enea z naiwnem zdziwieniem.

— A nie mylisz się też czasami?

— Nie mylę się... a czemuś się zamyślił?

— Myślę — odpowiedział Federico z roztargnieniem — myślę nad tem, że mi bardzo dobrą przynosisz wiadomość, z której cieszyć mi się należy rzeczywiście.

— Toż mi podziękuj przecież kochany mój chłopcze!

— Dziękuję ci...

— To się rozumie... alem ja niezadowolony, i ja chcę też coś zyskać na twym torfie... wiesz, już raz cię o to prosiłem i chciałem zapłacić; teraz musisz mi to dać za darmo, szczerze mówiąc przecież one do mnie należą.

Federico patrzał na niego nieruchomym wzrokiem ale myśli jego były gdzieindziej.

— Musisz mi je oddać bezwarunkowo, wyświadczysz tem mnie i Gabrielli grzeczność.

— Gabrielli... tak, ale cóż to jest właściwie?

— No, te bony na pocałunki... teraz możesz z czystem sumieniem mi je zwrócić.

— Prawda... mogę to zrobić z czystem sumieniem... należą przecież do ciebie... czy to panna Gabriella poleciła ci zażądać ich zwrotu?

Inżynier nie chciał skłamać, dał sobie jednak radę, mówiąc prawdę tak jakby mówił kłamstwo.

— Właściwie... nie... o, nie myśl...

— Dobrze — odpowiedział Federico — są już twoje... pozostaw mi jeszcze tylko tyle czasu, dopóki nie nabędę pewności...

— Że wartość twej posiadłości się podniosła?... Chceszże natychmiast zaraz dowodu. Kupuję go w tej chwili za podwójną cenę taksy, ale powiadam ci równocześnie zaraz, że robisz bardzo zły interes...

O fakcie nie można było wątpić; inżynier mówił zupełnie na serjo a chodziło o rzeczy, w których on był kompetentnym sędzią.

— Dobrze więc — odparł Federico — powiedz pannie Gabrielli, aby kiedy jej się podoba przyszła tu z tobą po odbiór bon — a teraz pozostaw mnie na godzinkę samego, nie jedno jeszcze muszę uporządkować.

— Odchodzę i pójdę zanieść przyjaciołom radosną wieść, oni nic jeszcze nie wiedzą.

Federico pozwolił mu dojść do progu, potem zawołał go jeszcze, wyciągnął doń obie ręce i uścisnął serdecznie; chciał mówić ale słów nie mógł znaleźć.

— Tak, dobrze — rzekł Enea — widzę, żeś wzruszony! A więc za godzinę...

— Za godzinę... tak, powiedz mi jakże tam doktorowi?

— Lepiej.

— Adieu, Enea!

— Do widzenia, Federico.

Gdy Gioachino i Romolo w pół godziny potem dowiedzieli się o tym nowym kaprysie losu, który wybranym uczynił jednego z rywali na to, aby potem drugiemu dopomódz, jak się zdało bynajmniej nie byli ucieszeni, ale z trwożnem pytaniem popatrzyli sobie obaj w blade twarze.

Nigdy nikt pewnie nie był takim wcielonym obrazem zdumienia jak inżynier w tej chwili!

— Wydajecie mi się wszyscy wpół zwarjowani doprawdy — zawołał; — może to już takie powietrze w Puziano, albom ja szalony, że nic pojąć nie jestem wstanie.

— Ah, coś ty zrobił! — rzekł Gioachino.

— Com zrobił?

— Gdzie jest Federico?

— Rozstałem się z nim przed pół godziną w muzeum.

— Teraz pewnie go już tam nie ma.

— Być może bardzo, i cóżby to miało znaczyć więcej.

— Wiesz gdzie poszedł?

— Nie.

— Do jeziora, kąpać się.

— Albo do najbliższego drzewa — dodał Romolo — by się pohuśtać na jego gałęzi.

Daremnie prosił inżynier o bliższe wytłómaczenie tych słów zagadkowych; obaj starzy zbiegli z schodów, on za nimi. Na ostatnim stopniu spotkał się z Gabriellą i opowiedział jej wszystko drobiazgowo sądząc, że się tem ucieszy; dziewczyna przecież drżała cała jak listek i musiała aż oprzeć się o ścianę, by nie upaść; potem z stanowczością odwróciła się i pobiegła za obu starymi, inżynier podążył za nią.

Gioachino i Romolo powracali już od strony muzeum, znaleźli je zamkniętem; dokoła drzewa wyciągały ku niebu niewinne swe gałęzie i niemniej niewinny śnieg nie zdradzał żadnych śladów. Nie wiedzieli co dalej czynić.

— Prawdopodobnie poszedł do swego pokoju a myśmy go nie widzieli — zauważył Romolo.

Wszyscy oniemieli na te słowa i nasłuchiwali trwożnie, jakby w tej chwili huk pistoletu miał zadrzeć w powietrzu.

Ale w następnej zaraz chwili obaj starzy jak wicher wbiegli napowrót po schodach. Gioachino skakał jak dwudziestoletni młodzieniec, a Romolo mijał po dwa schody bocianiemi swemi nogami.

Naraz podczas ogólnej bezradności przyszła inżynierowi myśl, myśl okropna.

— Chodź pani — rzekł do Gabrielli.

Kilkoma krokami byli u drzwi muzeum. Enea próbował drzwi otworzyć i znalazł je zamknięte; spojrzał przez dziurkę od klucza ale prócz ciemności nic nie mógł dostrzedz; potem położył się jak długi na ziemi, usta i nos przykładając do szpary ale w jednem mgnieniu oka był już na nogach i blady z przerażenia wybiegł na dwór, pięścią rozbił wszystkie szyby, potem nie zwracając uwagi na pokrwawione ręce ani na Gabriellę, w najwyższym stopniu wzruszoną — począł szukać dokoła, aż wreszcie spostrzegł żelazne ogrodowe krzesło; tem wymierzył kilkakrotnie jak taranem w zamknięte z wewnątrz okienice, dopókąd te nie ustąpiły przed natarciem z trzaskiem. W chwilę potem był już inżynier wewnątrz, cicho otworzyło się teraz i drugie okno, a przez nie wyleciał żelazny ruszt a z niego żarzące węgle z sykiem padły w śnieg.

Na ten widok Gabriella, która pojęła wszystko, poczuła niezwykłą jakąś siłę; nie drżała już, wzięła krzesło ogrodowe, przysunęła je do okna i chciała wejść na nie, by zajrzeć do wnętrza pokoju, ale zabijający jakiś dym wychodzący z tego okna zmusił ją do cofnienia się napowrót.

W tej samej chwili Enea z pokoju krzyknął w pół zdławionym głosem.

— Żyje jeszcze! Odwagi!

Potem posłyszała Gabriella jak amerykański fotel, na którym siedziała tak niedawno sama przyciągnięto do drzwi, te się otwarły i zobaczyła sztywne zmartwiałe ciało Federica i jego twarz trupio bladą.

— Na powietrze, na powietrze! — zawołała Gabriella drżącym głosem i pomagała sama z całych sił do wyciągnienia fotelu wraz z spoczywającym nań ciężarem, o ile możności jak najdalej po za obręb niebezpieczeństwa; więcej nie wiedziała co czynić a i Enea był bezradny; pochylili się razem nad zmartwiałem ciałem Federica i patrzeli nań z trwogą.

Federico miał oczy wpół otwarte — ale czy co widział? Inżynierowi zdawało się, że czuł jego oddech — ale czy oddychał rzeczywiście?

Na szczęście nadeszli obaj starzy; wprawdzie i oni nie wiele lepiej wiedzieli co czynić, przypomnieli sobie jednak o doktorze i Gioachino pędem pobiegł napowrót na górę, gdy tymczasem Romolo nieszczęśliwemu odwiązywał krawat i rozpinał kołnierz koszuli, włosy odrzucał i tysiączne inne bezużyteczne oddawał przysługi.

— Coś ma w ręku — wyszeptał Enea.

Otworzono mu przemocą kurczowo zaciśniętą rękę i wypadły mu z niej dwa strzępki papieru, dwa nieszczęsne bony.

Teraz już Gabriella nie mogła zapanować nad wzruszeniem i rozpłakała się.

— Nie płacz pani, nie płacz, na miłość boską! — wołał Enea ale i jemu głos łzy tłumiły.

Tymczasem u góry otwarło się okno i doktor Trombetta zawołał grzmiącym swym głosem.

— Trzymajcie mu głowę do góry i nacierajcie mu piersi i twarz śniegiem!

Polecenie to doktora wykonano natychmiast z całą pieczołowitością uczucia.

Wkrótce po tem ukazała się w oknie Tranquillina i powtórzyła radę męża.

Jakże tam? — spytał doktor Rocco z głębi.

— Otworzył oczy — odpowiada Romolo.

Tranquillina powtórzyła odpowiedź niewidzialnemu swemu mężowi i zniknęła.

Niebawem ukazał się doktor Rocco sam w swej osobie, opierał się na ramieniu Gioachina i swej małżonki i szedł zdyszany bez wszelkiego śladu godności doktorskiej.

— Pan wstałeś? — rzekł Romolo.

— Zdaje się — mruknął niepoprawny zrzęda.

Potem zaraz wszakże rzekł z łagodnością, jaka przy fizycznych jego cierpieniach rzadko kiedy się u niego objawiała:

— Nie chodzi teraz o mnie, mniejsza o moją podagrę. Potem pomacał Federicowi puls, otworzył mu oczy i ścisnął udo mocno palcami.

W chwilkę później otworzył Federico usta.

— Oddycha? — rzekł doktor — jest oca-

lony! Wy tymczasem dalej nacierajcie mu śniegiem piersi, nie lękajcie się przeziębienia; jeśli dostanie kataru będzie miał, na co zasłużył.

Gioachino, Romolo i Enea wypełniali rozkazy teraz już daleko radośniej, dopóki doktor wsparty na żonie i córce nie kazał zaprzestać.

— Teraz zanieście go do jego pokoju, otwórzcie okno i skoro tylko będzie mógł coś przyjąć, wlejcie mu trochę gorącej wody; na teraz nic więcej!

Zadość uczynił swemu obowiązkowi; teraz mogły go dalej męczyć cierpienia i uczyniły też to w obfitej mierze. Doktor Rocco w samej rzeczy zbytnio zaufał swym osłabionym przez upuszczenie krwi siłom, czuł, że go opuszczają, zapanował nad sobą jednak i doszedł rzuciwszy tylko w niebo wielce wymowne spojrzenie, wsparty na Gioachinie i Tranquillinie, szczęśliwie do swego pokoju, podczas gdy Enea i Romolo pozostali przy wpół martwym Federicu i przenieśli go do jego pokoju.

Gabriella pozostała sama; stała nieporuszona i wzrok jej zamyślony błąkał się po rozległej, pokrytej śniegiem i opromienionej rannem słońcem przestrzeni; z jakiejś wioseczki, od drugiego brzegu jeziora dobiegał odgłos dzwonów, zwiastujących pewnie jakiś uroczysty obrzęd — ale jaki?

I podczas gdy próbowała zebrać myśli, by odpowiedzieć na to mimowolne pytanie, ujrzała jak we śnie kościół przystrojony w czerwone draperje i wesołą, ciekawą ciżbę próżniaczego ludu na ulicach posypanych kwiatami i widziała dalej wszystkie okna udekorowane wypełzłemi dywanami i słyszała monotonny krzyk przekupniów, szwargot kobiet i rozgłośny śmiech dzieci i cieszyła się wreszcie, że się zbudziła z tego snu, że mogła nie patrzeć już na wszelką uroczystość, co nie była uroczystością jej serca, jej serca świętem.

Potem spojrzała jakby pytając ku oknu Federica, które otwierał właśnie Romolo.

— Lepiej mu — rzekł tenże.

— Lepiej mu — powtórzyła Gabriella półgłosem, i poszła zwolna dalej sama nie wiedząc dokąd; nagle noga jej potrąciła o jakiś twardy przedmiot, spojrzała na ziemię i spostrzegła, że to był żarzący jeszcze kawał węgla; reszta takich samych leżała dokoła w śniegu, w który zagrzęzły głęboko; kilka kroków dalej znalazła Gabriella ruszt żelazny, podniosła go i postawiła na oknie. Potem zbliżyła się do drzwi muzeum, weszła, usiadła na ławeczce, która stała poprzednio przed amerykańskim fotelem na biegunach i szeptała oglądając się dokoła: on chciał umrzeć!

Przed nią leżały owe żółte krzemienie, które tak niedawno jeszcze jej pokazywał, na niektórych była data i miejsce wykopania zapisane na karteczce.

Po przez wybite szyby zaglądał ciekawy wróbel; skakał na murze przed oknem i od czasu do czasu podnosił główkę jakby się pytał co ma znaczyć to zamięszanie.

— Federico chciał umrzeć — odpowiedziała mu myśl Gabrielli; zimna jego kochanka była z nim i żadnem słowem nie starała się mu w tem przeszkodzić. Ale nie jej biednej w tem wina, ona niemą!

— Kto? — pytał wróbel.

— Nauka.

Wróbel odleciał na najbliższą jodłę snać zadowolony już z objaśnienia.

Gabriella pochyliła głowę na piersi, przypomniała sobie słowa Federica: „Ci tylko odbierają sobie życie, co prześnili sen piękny i budzą się zeń; ja nie śnię nigdy...“

A przecież śnił, zamarzył, i o czem? Skoro za pomocą tego samego węgla co mu zwiastował powrót utraconego bogactwa chciał śmierć przyzwać, cóż mógł śnić takiego?

Kiedy wreszcie podniosła zaszłe łzami oczy, spostrzegła na stojącym w pobliżu stoliczku list, powstała i wzięła go w rękę; na kopercie był napis: „Do inżyniera Ferri.“

Nagle zdało się jej, że jakiś rozszalały uragan tysiączne atomy myśli rozwiał w jej mózgu; poczuła zawrót głowy, nie słyszała, nie widziała już nic więcej, a jednak zdało się jej, że pośród tego chaosu, co ją otoczył nagle, list ów leży przed nią otwarty i że w nim czyta wyznanie płomienne najgłębszą boleścią, najwyższą namiętnością.

— List ten miał być po śmierci jego otwartym — pomyślała Gabriella; — on żyje, należy go więc spalić.

Już chciała myśl tę w czyn wprowadzić, nagle przecież coś ją powstrzymało od wykonania.

„Do inżyniera Ferri“, brzmiał napis — pomyślała — list więc do niego należy.

I myśl jej wybiegła do człowieka, z którym związała się węzłem przyrzeczenia i dziwne, głębokie ogarnęło ją zawstydzenie, ją, co przecież nic sobie zarzucić nie mogła; w tej samej chwili posłyszała kroki na schodach, bezwiednie położyła list napowrót na stoliku, na którym leżał poprzednio i wyszła.

Przed nią stał inżynier.

Prawą rękę miał obwiązaną, podał jej lewą i rzekł uśmiechając się smutnie.

— Lepiej mu; nie mówi tylko, bo się wstydzi; idź pani do niego, to go ucieszy.

Gabriella nie poruszyła się.

— Idź pani! — naglił ją Enea.

— Idę; — i pan coś odniosłeś z tego, widzę.

— A, o tem i wspominać nie warto.

Inżynier wszedł przez drzwi stojące otworem do muzeum, Gabriella nie poruszyła się z miejsca; po chwili stał znów Enea na progu, był bardzo blady i trzymał w ręku list Federica; skoro jednak spostrzegł tylko Gabriellę starał się list ukryć.

— Mam złe przeczucie — ozwała się Gabriella aby nie okazać inżynierowi, że cobądź dostrzegła; — ojciec jest chory a pan Federico...

Inżynier podał jej ramię i rzekł wzruszonym głosem:

— Zobaczysz pani, że złe przeczucia zawodzą i że wszyscy będziemy szczęśliwi.

Potem poprowadził ją po schodach aż do drzwi pokoju Federica.

— Wejdź pani — rzekł — powinniśmy się starać by się wstydził swego czynu; jedyny to środek zmuszenia go do uznania, że życie ma pewną wartość przecież.

Gabriella otworzyła drzwi a Enea napowrót zszedł na dół.

Do pokoju Federica po przez szeroko otwarte okno napływało świeże, chłodne powietrze strumieniem a wraz z niem jasne światło słońca.

Federico leżał ubrany na łóżku, głowa jego spoczywała na trzech wysoko spiętrzonych poduszkach, czoło związane było białą chustką; oczy miał zamknięte ale nie spał.

Romolo, siedzący u łoża przyjaciela, odwrócił się posłyszawszy szelest i podszedł na palcach do Gabrielli.

— Lepiej mu; ocalony; ojciec pani powiada, że musi mieć teraz okropny ból głowy, ale on na nic się nie skarży, nie mówi ani słowa i ukradkiem tylko otwiera oczy; widocznie wstyd mu. Skoro mu kładę świeżą opaskę zmaczaną w zimnej wodzie, dziękuje mi tylko westchnieniem; dobry, kochany to człowiek.

Romolo umilkł nagle, wskazał na bladą twarz chorego i szepnął w ucho Gabrielli:

— Cicho! Słyszy co mówimy.

W samej rzeczy Federico pochylił nieco głowę, by módz lepiej słyszeć.

Oboje więc na palcach cofnęli się w najdalszy kąt pokoju.

— Kiedyśmy go tu wnosili — mówił dalej Romolo — mówił jedno tylko słowo: „list;“ musiał mówić w malignie, bo o jakimżeby liście myślał? Może pani wiesz, czy nie otrzymał czasami jakiego listu?

— Napisał list do inżyniera — odpowiedziała Gabriella.

I kiedy chcąc ukryć rumieniec wychyliła się przez okno, ujrzała z drzwi pod nim umieszczonych, wysuniętą ćwiartkę białego papieru, widocznie zawierającego tylko kilka linji zaledwie; mimo to przecież niewidzialny czytelnik, stojący prawdopodobnie na progu, nie mało potrzebował czasu na zrozumienie treści listu; nakoniec wyszedł, postąpił kilka kroków i raz jeszcze spiesznie ukrył tajemniczą kartkę, skoro spostrzegł odwróciwszy się Gabriellę z Romolem u okna.

Oboje spojrzeli wzajem pytająco na siebie, ale nie wymówili ani słowa.

Nakoniec odezwał się Romolo:

— Nie mogłabyś pani pozostać tu na chwilę? A może mam pani przysłać Gioachina? Chciałbym zejść do Enei, radbym dowiedzieć się także...

— Idź pan spokojnie, ja tu pozostanę.

— Nie można wiedzieć co się stać może — ciągnął Romolo dalej — w każdym razie lepiej nie pozostawiać go samego, mógłby znów jeszcze zrobić jakie głupstwo; zresztą możesz pani być pewna, że nawet oczu nie otworzy... powrócę natychmiast.

Gabriella stała zamyślona u okna, widziała jak Romolo spotkał się z inżynierem, jak potem ręka w rękę szli długą aleą; potem odwróciła się, zbliżyła do chorego i nagle stanęła jak skamieniała: Federico otworzył oczy i bacznie na nią poglądał.

— Panie Federico!... — wyszepnęła przez wpół zaciśnięte wargi.

— Pani!...

— Jakże panu?

— Lepiej, ale czuję taki ciężar okropny tu na czole, ciężar nie do zniesienia, kamień.

— Czy mam panu zmienić opaskę?

Federico nic nie odpowiedział, a Gabriella, która z każdą chwila odzyskiwała swobodę, zabrała się do swego urzędu z delikatną starannością zakochanej dozorczyni chorych. Chory poczuwszy dobroczynny chłód świeżej opaski, westchnął głęboko.

Gabriella siedziała u jego łóżka; nie wiedziała, co ma powiedzieć, bo wzrok chorego łagodny a smutny napowrót dawnego nabawiał ją zakłopotania.

— Staraj się pan usnąć — rzekła — to panu przyniesie ulgę; czy mam zamknąć okno?

— Nie, nie, lubię światło; lubię kiedy do mnie kto mówi cicho, proszę, powiedz mi pani

*

co, drobnostkę, co bądź, cichuteńko... będę słuchał...

Gabriella musiała się uśmiechnąć i nie wiedziała jak dogodzić temu kaprysowi chorego; wtem wszedł Gioachino na palcach i natychmiast też Federico zamknął oczy i leżał nieporuszenie jak poprzednio.

— Panno Gabriello — rzekł staruszek — ojciec życzy sobie pomówić z panią.

— Ah! ojciec! Jakże mu?

— Lepiej.

— Idę w tej chwili.

Ale chory otwarł nagle oczy jakby pytając o coś i Gabriella dodała mimowolnie: powrócę tu za chwilę.

Potem odeszła po cichu odprowadzona do drzwi spojrzeniem młodego człowieka.

Ojciec czekał na nią; wzrok jego spotkał wchodzącą, uśmiechał się i skinął, by bliżej podeszła. I jakby za zmową w tejże samej chwili Tranquillina opuściła łóżko męża, postąpiła do Gabrielli, ucałowała jej czoło i wyszła.

— Moje dziecko — rzekł doktor Rocco, i ujął obie ręce dziewczęcia w swoją lewą dłoń — moje dziecko czy jesteś dość silna? ...Nie bój się niczego, odpowiadaj mi: jesteś silna?... Czy mogę ci powiedzieć...?

Gabriella nie przeczuwała o co chodziło, ale poczęła drżeć i doktor Rocco przerwał swą przemowę, po chwili dopiero zwykłym swym mrukliwym tonem, z niezmierną przecież życzliwością w głosie, począł dalej:

— Czego drżysz?... Czemże cię przeraziłem?... Mam ci coś powiedzieć; ale jeśli nie będzież spokojniejsza...

— Mów ojcze, patrz, już jestem spokojna.

— Dobrze więc, powiem ci, bo musisz to wiedzieć przecież; wczorajszej nocy miałem...

— Co miałeś ojcze? o Boże... sen?

— Sen miałem — mruknął doktor, który żałując swej otwartości chętnie pochwycił poddane sobie kłamstwo, by popełniony błąd naprawić — miałem sen.

— Tylko sen?

— A tak; ale czy wiesz?... pamiętasz owe siedm krów chudych i siedm tłustych.., w snach częstokroć bywa... Co to bywa w snach? Wiesz?

— Nie — odpowiedziała z śmiechem Gabriella.

— Brawo, śmiej się, tak lepiej. A więc śniło mi się, że wkrótce przyjdzie mi umrzeć.... śmiejże się... a to znaczy prawdopodobnie, że nie umrę nigdy... śmiejże się...

Ale Gabriella się nie śmiała.

— ...I kiedym miał żegnać się z życiem, ze światem, z tobą moje dziecko, czy wiesz co zasmucało mnie najbardziej?

Dziewczyna oczy pełne łez utkwiła nieruchomie w kołdrze łóżka.

— Zasmucała mnie jedynie ta myśl, żem nie mógł porozumieć się z moją córką, że jedynego mego dziecka nie pozostawiam na świecie szczęśliwem.

— Ależ ja jestem szczęśliwą, ojcze.

— To nieprawda, mówmy krótko; ty nie kochasz inżyniera.

— Ale skoro go chcę jednak zaślubić?

— To go zaślubisz, ale go nie kochasz; a czy wiesz jak to się nazywa? — Głos doktora Rocco zmiękł teraz, złagodniał, kiedy po chwilce namysłu dodał — to się zwie „lekkomyślnym czynem!“

Skoro wszakże zauważył, że słowa jego tym tonem wymówione nie wywarły pożądanego skutku, powtórzył je zwykłym swym surowym głosem z małą zmianą:

— To się zwie „złym czynem!“

Gabriella spytała z wymuszonym śmiechem:

— Czy i o tem śniło ci się, mój ojczulku?

— Więcej śniło mi się jeszcze; czy mam ci to powiedzieć?

Gabriella nie odpowiedziała.

— Powiem; a więc śniło mi się, że byłaś zakochana w...

Pocałunek nie pozwolił mu mówić dalej.

— Zaprzecz temu jeśli możesz.

Gabriella nie zaprzeczała, ale milczała i płakała; doktor Rocco przycisnął ją do piersi i póty czekał, póki nie uspokoiła się nieco, potem rzekł:

— Słuchaj dziecko, dopóki ja żyję takiego głupstwa nie dopuszczę; puść tego inżyniera a idź za tamtego... jak sądzisz?

— On ma moje słowo, ojcze — wyszeptała wśród łez dziewczyna.

— W interesach *tego* rodzaju słowo nic nie znaczy; kontrakt najmu kończy się z upływem 24 godzin, cofnąć go wówczas już nie można, kupno można wskutek pewnych nieformalności umorzyć... Dla małżeństwa tylko nie ma żadnego wybiegu, żadnej innej drogi wyjścia, nad śmierć. Więc póki czas, dziecko, mówię ci: jesteś wolna jak ptak w powietrzu.

Gabriella nic nie odpowiedziała tylko smutnie potrząsnęła głową.

— I cóż? — spytał doktor Rocco niecierpliwie.

— Dałam mu słowo, wyjdę za niego.

— Tyś mu nie dała słowa, tylko ja — bronił doktor.

— I ja mu dałam, ojcze.

— Dobrze; ale czy ty wiesz co ja zrobię? Umrę przed czasem i jeszcze w ostatniej życia godzinie...

Gabriella uścisnęła go i nie dała dokończyć.

Ledwie oswobodzony z uścisku, począł doktor na nowo:

— Słuchaj! A jeśliby inżynier ciebie nie chciał, jeśliby...

— To nic nie pomoże, ojczulku, nic a nic.

— A, daj mi pokój, jesteś uparta jak... idź, bądź spokojna i pozwól mi działać.

— Nie mów nic z nim, ojcze, nie każ mi się wstydzić.

— Czy wolno? — rozległ się nagle u drzwi głos inżyniera.

— Proszę! — zawołał doktor.

W mgnieniu oka dziewczyna była na progu, gdzie z narzeczonym zamieniła nieme spojrzenie i szepnęła mu z pospiechem:

— Nie wierz pan ani słowa, cokolwiekbądź by panu ojciec powiedział.

Dziękuję — odpowiedział jej inżynier widocznie wzruszony i uścisnął gorąco jej rękę, tę miękką, delikatną rączkę, którą w przeddzień zaledwie uważał już za bezsporną swą własność.

(C. d. n.)

Z WYSTAWY SZTUK PIĘKNYCH.

(*Dokończenie*).

A teraz do żyjących. Prawdziwą great attraction wystawy stanowi portret hr. R. P. pędzla Makarta. Powody tego wielorakie: znana piękność przedstawionej na portrecie osoby, stanowisko zajmowane przez nią w wielkim świecie lwowskim, nareszcie sława wiedeńskiego artysty. Dekoracja portretu bardzo fantastyczna: balkon wznoszący się nad wierzchołkami drzew po za którymi oko gubi się w obłocznej perspektywie, z prawej strony ciemno-zielona kotara, na pierwszy rzut oka robiąca wrażenie skały mchem porosłej. Na tle ciemnem żywa się odbija różowa karnacja twarzy i ramion i białość sukni, po której złotą kaskadą spływa przepyszny strumień włosów. Cóż? kiedy brak w portrecie tego, poczem się odrazu poznają mistrze pierwszego rzędu, brak prostoty artystycznej. Objawia się on w głównie w wyszukanej pozie, która wybornie wprawdzie służy do okazania bogactwa włosów, ale naturalną nazwać się nie może.

Rodakowski na obecnej wystawie dzielnie wytrzymuje współzawodnictwo z cudzoziemskim mistrzem. Jego portret matki celuje właśnie tym przymiotem, którego brak daje się uczuwać na płótnie Makarta: nadzwyczajną naturalnością pozy i wyrazu twarzy. Pod innymi względami, szczególnie pod względem harmonji i przepychu farb nie może się on równać z Makartem, proporcje nawet może nie są bez bez wad, naprzykład głowa wydaje się zbyt małą, ale to wszystko wynagradza doskonały wyraz dobroci i macierzyńskiej słodyczy promieniujący z twarzy i całej postaci. Widać, że artysta ze szczególnym pietyzmem malował ten portret i nie będzie może wielką przesadą, jeżeli powiem, że nawet nie odczytując podpisu można by zgadnąć, że to dłoń synowska uwieczniła rysy ukochanej matki.

Przed opuszczeniem pierwszego kompartymentu mamy jeszcze jedno świetne nazwisko do wymienienia i jeden świetny obraz do ukazania.*) Jest to głowa kobieca Siemiradzkiego. Artysta ten ma zamiłowanie w typach wschodnich i ta głowa, którą mamy na wystawie, może być również zaliczoną do tego rodzaju typów. Twarz zresztą jest dość pospolita i tylko wyraz zamyślenia błądzący koło ust nadaje jej pewną oryginalność. Dekoracja przenosi nas do jakiegoś wschodniego haremu. Artysta osiąga to wrażenie bardzo niewielu środkami: kawałek makaty w guście wschodnim, służący za tło dla głowy, wielkie ametysty płonące fioletowym ogniem w złotych kolczykach i kraj szaty zielonej, zarzuconej na szyję a dziwnie harmonizujący z czernią bujnych włosów i z ogorzałą cerą twarzy i szyi — oto jest wszystko co stanowi dekoracją głowy, a co wystarcza dla naszej wyobraźni, aby się mogła przenieść w legendową krainę wschodu.

W ostatnich dniach przybył na wystawę portret pana namiestnika pędzla Matejki. Należy on do szeregu portretów marszałków sejmowych, które Wydział krajowy własnym sumptem sporządzić kazał. Jak wszystkie portrety Matejki odznacza się i ten niesłychaną siłą plastyki. Pod tym względem Makart, Siemiradzki, Rodakowski bledną przy Matejce. Twarz i cała postać byłego marszałka oblana jest purpurowym światłem, jakby zachodzącego słońca. W tej purpurze twarz pełniej, a nawet za pełno wygląda, a dekoracje zawieszone na polskim stroju płoną ogniem drogich kamieni. Całość obrazu sprawia wielkie złudzenie: zdaje się że to żywy człowiek wychodzi z obrazu.

W dziale olejnych portretów prócz powyżej wymienionych nazwisk figurują jeszcze nazwiska pp. Grabowskiego, Jabłońskiego Kry-

---

*) Obecnie przeniesiony do innego oddziału p. r.

cińskiego i in. P. Andrzej Grabowski odznacza się na tegorocznej wystawie obfitszą jeszcze niż zwykle produkcją; zresztą w sposobie jego malowania nie zaszła żadna zmiana, którąby można było zanotować. Co się tyczy pana Jabłońskiego, to jego portret Matejki, wiernie oddając rysy krakowskiego mistrza, takim jakimś świeci kolorytem od siedmiu boleści, że ludzie bardzo podejrzliwi gotowiby w tym obrazie widzieć chęć skarykaturowania Matejki.

Dwa obrazki p. Gersona należą do rodzaju poetycznych allegoryj i przedstawiają Pogodę i Zawieruchę. Są to dwie postacie niewieście w strojach fantastycznych, z których jedna ma przedstawiać zupełny spokój w naturze, druga powszechny zamęt. Chęci były dobre, ale wykonanie pozostało daleko w tyle za chęciami. Zawierucha jest kuchenną dziewką grymaśnie wywijającą rękami i nogami w powietrzu; sprawia ona dziwnie komiczne wrażenie, którego zapewne artysta nie zamierzał osiągnąć. Pogoda szczęśliwiej jest pomyślaną; robi ona jednak wrażenie zmarzniętej lub marznącej istoty i dla tego jeżeli może być allegorycznem wcieleniem jakiej pogody, to chyba marcowej lub kwietniowej.

Od tych poetycznych alegorji nie są wcale fortunniejszemi dwie illustracje do Pana Tadeusza: Zosia Maleszewskiego i Maciek Dobrzyński Gramatyki. Zosia jest przedstawioną w chwili gdy karmi domowe ptactwo, które się zbiegło i zleciało koło niej. Ale cóż? zamiast hożej, opalonej, dziecinnie wesołej dzieweczki, widzimy tu pretensjonalnie wykrygowaną i wystrojoną istotę rodzaju żeńskiego, z minką, która ma być niewysłowienie idealną, a jest tylko niesłychanie wymuszoną. Przytem zamiast chmury domowego ptactwa, widzimy u stóp Zosi, teatralnie ziarno sypiącej z sita, trochę tylko drobiu, tak mało, że złego byśmy nabrać mogli wyobrażenia o gospodarstwie soplicowskiem, uchodzącem dotąd za klasyczne, gdybyśmy się chcieli spuścić na wiarogodność tego malowanego dokumentu. Już to malarzom nigdy się nie wiodło z Zosią, począwszy od dyletanta hrabiego „z Horeszków rodu, chociaż po kądzieli" a skończywszy na panu Maleszewskim.

Co się tyczy pana Gramatyki, to miał on zamiar przedstawić Maćka nad Maćkami podczas jednej z najulubieńszych jego rozrywek gospodarskich, podczas karmienia królików. W istocie zgromadził w swoim obrazku wszystko, co należy do tej sceny: jest i Maciek, a przynajmniej jakiś gruby, ciężki i wąsaty szlachcic siedzący na ławie przed domem, jest i kapusta, są i króliki, jest nawet Różeczka zawieszona na ścianie; trochę dalej w głębi widać nadchodzącą szlachtę Dobrzyńską. Ale cóż? wszystko to tak jest niepowiązane, że nawet Maciek nie spogląda na króliki, które karmi i tępym wzrokiem patrząc gdzieś przed siebie, trzyma w ręku kapustę jakby od niechcenia. A przytem co to za Maciek! Niktby w nim nie poznał najrozumniejszej głowy z całego zaścianka Dobrzyńskiego, ba nawet z całego świata szlacheckiego występującego w Pana Tadeuszu.

Z rodzajowych obrazków najgodniejszym jest uwagi, choć bardzo w kąt zasuniętym, mały obrazek Kotsisa, pod tytułem: „Spoczynek żyda." Czuć gorące południe. W jednej z głuchych uliczek krakowskich pod murem ogrodowym usiadł żyd na kamieniu i zasnął. Poza jego, pomimo iż trzyma worek pod pachą, jest bardzo wygodna, widać jak mu się spi doskonale. Ale ten miły spoczynek ma być wkrótce przerwany. Nad murem wysoko wystają głowy dwóch chłopaków, którzy dopatrzyli żyda i chcą mu chrzest sprawić z ogrodniczej blaszanki. W pomyśle i w wykonaniu czuć wielką świeżość i niepretensjonalność.

Między akwarellami świecą nazwiska Orłowskiego i Kossaka. Całe pół wieku oddziela jednego od drugiego, nicby więc dziwnego nie było, gdyby pod względem techniki okazał się znaczny postęp w Kossaku. Ale o technicznej stronie nie chcemy tu mówić, jako o nie swojej rzeczy. Za to co się tyczy pomysłu musimy przyznać Orłowskiemu, już choćby tylko na podstawie tego, co się znajduje na wystawie, daleko większą głębokość. U Kossaka wszędzie jest tylko parada, popis pięknych kształtów końskich, wystawa pańskich strojów i w ogóle pańskości; wszystko to świetne ale zimne. Piękne są naprzykład pod względem wykonania akwarelle jego, przedstawiające Ks. Władysława Sanguszkę w r 1831. i ks. Eustachego Sanguszkę (który mówiąc nawiasem, jest tu rażąco podobny do Kościuszki) na kresach; szczególnie koloryt ostatniej akwareli jest przepyszny; ale cóż? i tutaj pierwsze miejsce zajmuje wystawa mundurów i koni, a nie życie wewnętrzne, nie uczucia, które grały wówczas w piersiach ludzi. Spójrzmy teraz na jednę z dwóch akwarel Orłowskiego, przedstawiających utarczki z Moskalami z czasów przedrozbiorowych. Co tam za siła dramatyczna! jaki zapał i groza wojenna! Z zamętu bitwy przez trupy wyrywa się koń z jeźdzcem; sam przestrach i ruchy konia świadczą o straszliwym warze, z którego się wydobywa; w jeździe widzimy jednego z zuchów barskich gotowych usque ad finem walczyć za cześć Marji i całość ojczyzny. Wielka szkoda, że trzecia akwarela Orłowskiego, przedstawiająca koczowisko Kozaków, za wysoko jest umieszczona, ażeby jej ludzie z niezbyt dalekim wzrokiem dobrze przypatrzeć się mogli.

W nielicznym dziale rzeźb wystawione są prace: Trembeckiego Zygmunta, hr. Łubieńskiej, Hoszowskiego, Barącza i Mikulskiego. Ten ostatni bodaj, czy nie po raz pierwszy występuje na lwowskiej wystawie, a jego „Niewolnik" popiersie z gipsu, korzystnie świadczy o talencie tego młodego rzeźbiarza.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Radzimy sobie jak możemy podczas posuchy na nowiny, chociaż w aurze lwowskiej jak było mokro tak i jest, mimo wszelkich zapewnień stacji meteorologicznych, że stan normalny powietrza w całej środkowej Europie dochodzi statecznej równowagi. Nawet żywe barometry chodzące po Lwowie, to jest reumatyczni obywatele, dziwią się jakim sposobem jeszcze deszcz pada, jeżeli im od kilku dni bóle z nóg ustąpiły... Pokazuje się, że i natura opancerzona wzorowo w artykuły praw przyrodniczych miewa swoje wyjątki, wprawdzie nie tak liczne jak polska gramatyka — ale ma.

Proces kolosalnych rozmiarów, ów dwumiesięczny proces byłego Towarzystwa kredytowego miejskiego, został przecież zakończony z wielkiem zadowoleniem Sądu i czytelników, ma się rozumieć prócz trzech skazanych. Ciekawość publiczna zrazu tak natężona, w końcu spadła poniżej zera i jeżeli komu sprawiło to zakończenie przykrość — to tylko dziennikom krajowym, które straciły możność zapełniania kilku szpalt dziennie sprawozdaniami obracającemi się w kółko w jednym i tym samym przedmiocie. Szczęściem, że przyszła nowa ofiara na ich podwórko, a tą jest walny zjazd Towarzystwa pedagogicznego w Brodach.

Powiadam wam czytelnicy, że Brody od czasu wyboru p. Sochora na członka Rady państwa, o którym to wyborze bardzo wiele ciekawych rzeczy napisano, a nawet za nadto ciekawych skoro je c. k. Prokurator a konfiskowała — postąpiły ogromnie w patrjotyźmie polskim. Chorągwie, napisy, wieńce, strzały, muzyka, wszystko to wyprowadzono na plac przy wjeździe członków Towarzystwa pedagogicznego, a jeszcze tak serdecznie i ostentacyjnie, że sam prezes Towarzystwa, zaambarasowany tem przyjęciem, całemi siłami wymawiał się, że Towarzystwo pedagogiczne nie ma się za takiego zwycięzcę, za jakiego miasto Brody je poczytuje.

Walny zjazd bardzo pięknym i szlachetnym czynem rozpoczął swoje obrady, a czynem tym była uroczystość wmurowania tablicy pamiątkowej na domie, gdzie się w r. 1797 urodził Józef Korzeniowski. W podniosłej a serdecznej z prawdziwie akademickim nastrojem wygłoszonej mowie, pan Tatomir wykazał zasługi tego znakomitego pisarza naszego i bardzo słusznie zrehabilitował cześć jego jako Polaka i obywatela, o której w ostatnich chwilach życia jego wiele rozpuszczano niegodziwych pogłosek, do czego pierwszy impuls dał kiedyś Klaczko przy recenzji dzieł jego. Bądź co bądź naród oddał publiczny hołd temu zasłużonemu mężowi na polu naszej literatury, a kto wie czy nie ostatniemu, który prawdziwie poprawnie umiał pisać po polsku. Przemówienie pana Tatomira, należy do najlepszych mów tego rodzaju, gdzie nie kombinacja słów gładko brzmiących, ale duch i serce Polaka z głębi piersi przemawia. Nie wiele mamy możności i środków na uczczenie zasług i pracy naszych bohaterów, zatem niech poczciwa chęć staje tu za pomniki z bronzu i wielkie narodowe muzea. Nam przeznaczono, kontentować się skromnemi tablicami na domach wielkich ludzi naszych, lecz zaprawdę droższą jest dla nas taka tablica — jeżeli się pomyśli że w niej utkwiona jest wdzięczność całego narodu.

Z dotychczasowych obrad Towarzystwa, które trzeba przyznać prowadzone są z wielką powagą i nastrojem obrad wielkiego ciała naukowego, wspomniemy o sprawie zaprowadzenia kas oszczędności przy naszych szkołach. Rzecz tę wniósł na posiedzenie p. Jędrzej Harwota profesor gimnazjum z Przemyśla, i o ile ze sprawozdania sądzić możemy, wnioskodawca opracował przedmiot swój z głęboką znajomością i w sposób wyczerpujący. Oponowali przeciw temu pp. Sawczyński i Romanowicz ze stanowiska, że instytucja taka dla młodzieży, wpłynąć może na zbyt materjalistyczny kierunek umysłowego ich wykształcenia. Sprawa przy wotowaniu pozostała nierozstrzygniętą, choć p. Alfred Zgórski silnemi argumenty zbijał twierdzenia przeciwników. Nie przesądzając bynajmniej dyskusji, która zapewne jeszcze nieraz wyjdzie na stół obrad Towarzystwa pedagogicznego, bylibyśmy zatem, że wyrobienie w pojęciach dzieci naszych większej niż dotąd skłonności do oszczędzenia i gromadzenia, nic a nic by nie zaszkodziło uczuciowemu charakterowi Polaków. Jakkolwiek w piśmie Św. powiedziano, że nie samym chlebem żyje czło-

wiek, to jednak widzimy w życiu praktycznem narodów, że zasoby materjalne kraju, są najkrótszą drogą do osiągnięcia niezależnego bytu, czego najlepszym dowodem jest Francja, której lud znany ze swej ruchliwości i przymiotu oszczędzania — tak prędko podniósł się z upadku, a nawet zaimponował Europie. Sentymentalizmu nam nie brak, i tego oszczędność z nas nie wyruguje — ale że nam zawsze brak było przezorności i rachunku — to częste niestety mieliśmy na to przykłady. Wychodząc z tego założenia, że dobrobyt zaszczepia materjalizm, musielibyśmy wszystkim ludziom bogatym odmówić uczucia, którego uprzywilejowanymi posiadaczami byliby tylko ubodzy. Jednakże tak nie jest, i nic nam nie zaszkodzi jeżeli zabierając się do odbudowania ojczyzny, weźmiemy się do tej pracy z dobrze nabitą kieszenią.

Publiczność tutejsza zaciekawioną jest spodziewaną wystawą obrazu Matejki „Bitwa pod Grünwaldem.“ Tyle słyszeliśmy i czytaliśmy zdań podnoszących pod obłoki to dzieło, i tyle ujemnych krytyk z Wiednia, Petersburga i Berlina, że doprawdy radzibyśmy w tym wypadku wziąć na się rolę sędziów i wyjaśnić o ile zazdrość stronnicza naszych nieprzyjaciół odgrywała tu i jaką rolę.

Uczciwszy pamięć śp. Korzeniowskiego o ile nasze siły i środki po temu służyły — musimy podzielić się z czytelnikami wiadomością, że szanowny jubilat Kraszewski obiecał po uroczystościach krakowskich w pierwszych dniach października odwiedzić naszą stolicę i być na otwarciu ofiarowanej jego nazwisku Ulicy.

Adoratorowie prac i zasług i talentu tego niezmordowanego pracownika na niwie ojczystej, a tych podobno jest pełne miasto, cieszą się już zawczasu obiecanym zaszczytem oglądania w swych murach znakomitego męża, na uczczenie którego przygotowują się różne uroczystości.

P. Henryk Sienkiewicz znany czytelnikom naszym z drukujących się w Tygodniu utworów pod nazwą Litwosa, po kilku miesięcznym pobycie, opuścił Lwów udając się do wód w Szczawnicy i Krynicy, gdzie zamierza dać parę odczytów nieznanych dotąd dzieł swoich. Niewątpimy, że wiadomość ta ucieszy i zainteresuje czytelniczki nasze, których sympatyczny i serdeczny autor „Hani“ już stał się ulubieńcem. Rzeczywiście bowiem rzadko który z powieściopisarzy naszych, potrafi z taką prawdą i życiem grać na sercach ludzkich jak p. Sienkiewicz. Wstrząsa on a nie rozstraja, orzeźwia a nie przygnębia, rozbudzając drzemiące szlachetne uczucia w duszy ludzkiej. Niewątpimy przeto, że odczyty jego mieć będą tam zasłużone powodzenie.

Wody nasze krajowe w tym roku przepełnione, kto się spóźnił i mieszkania nie zamówił wcześniej, może doznać zawodu. Znajomy nasz pisze z Żegestowa, że urocza ta górska kotlinka literalnie zapchana, a choć deszcz ciągły kwasi humory gości, to nadzieja pogody ich nie opuszcza, tembardziej, że przez te dnie pokuty nagromadzą tyle szczegółów z życia i charakteru sąsiadów celkowych, że sprawdzenie ich lub rozczarowanie będzie przedmiotem rozmów zdolnym zapewnić dwa razy tak długi sezon kąpielowy jaki jeszcze do zużytkowania zostaje.

A my we Lwowie co tu robimy? Nic podobno. Ziewamy, zajadamy owoce, które tego roku nadzwyczaj pięknie się prezentują; ziewamy przeżuwając różne stare wiadomości czy p. Bodyński złoży mandat poselski czy nie, kogo obierzemy po p. Hausnerze, czy będziemy mieli sejm tego roku, lub nie będziemy i czy nowe ministerjum składać się będzie z samych Polaków, czy też przez grzeczność przypuścimy choć jednego Niemca ma się rozumieć bez żadnej teki. Studenci się rozjechali, a ci co są, puszczają latawce z papieru jako symbole polityki narodowej. Lokali pustych mnóstwo stoi do najęcia, właściciele realności chodzą ze spuszczonemi nosami, słowem apatja już na chłodno, bo nawet zwykłe letnie upały nie chcą nam jak innych lat dokuczać.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i nauka.

*** *Kongres międzynarodowy* literacki odbył się w czasie od 9—14 czerwca w Londynie. Zajmowano się na nim głównie sprawą przekładów i przerobień z obcych języków. Najważniejszą w tym względzie jest rezolucja następującej treści, uchwalona przez kongres: „Jedynie autor dzieła ma prawo upoważniać do tłómaczenia go, a prawo przysługuje mu w ten sam sposób i na tak długi przeciąg czasu, jak i wszelkie prawo tyczące się przedruków, z tem wszakże zastrzeżeniem, że przekład upoważniony przez autora powinien koniecznie wyjść z druku w przeciągu 5 lat od chwili pojawienia się dzieła oryginalnego. Stowarzyszenie powszechne literackie służyć będzie za pośrednika pomiędzy autorami a tłumaczami i wydawcami. W stowarzyszeniu utworzoną zostanie księga, w której zapisywać będą wszystkie dzieła niewydane, które autorowie przysyłać mogą w rękopiśmie obcokrajowym wydawcom i tłómaczom a to w tym celu, ażeby dzieło oryginalne i przekład mogły wyjść we wszystkich krajach w jednym i tymże samym czasie. Każdy przekład dokonany za pośrednictwem stowarzyszenia, nosić będzie napis: „Jedyny przekład upoważniony przez autora i przez stowarzyszenie powszechne literatów.“

*** Pani Marja Siemiradzka, której przekład „Holandji“ przez Edmunda de Amicis wychodzi obecnie w *Wędrowcu*, tłómaczy z kolei dla tegoż pisma piątą i szóstą pracę znakomitego podróżnika włoskiego, a mianowicie: „Ricordi di Parigi“ (Wspomnienia z Paryża) i „Marokko“!

*** W handlu księgarskim ukazała się opowieść pod tytułem „Jełowiczowie i Bukojemscy“ napisana przez Jaxę Bykowskiego.

Jest to historja rodu i kawałka ziemi, spisana podług archiwów i podań rodzinnych.

*** Wyszedł z druku jedenasty tom wydawnictwa jubileuszowego pod tytułem „Wybór dzieł J. I. Kraszewskiego.“

Mieści on w sobie dokończenie słynnego „Sfinksa“ oraz powieść „Ongi“, drukowaną... ongi w *Tygodniku Illustrowanym*.

*** *Biesiada literacka* rozpoczęła drukować nowelę „Aby słodko,“ wyszłą z pod pióra przedwcześnie zgasłego ś. p. Józefa z Mazowsza (Wojciechowskiego).

*** Aleksander Kraushar, znany tłómacz Heinego, wydaje obecnie zupełny zbiór „Pieśni“ ulubionego poety.

Mieszczą się tu na 300 stronnicach: Intermezzo, Powrót, Nowa wiosna i Romanzero.

Przekład dokonany jest bardzo szczęśliwie.

*** Operetka Feliksa Szobera pod tytułem „Podróż po Warszawie“ doczekała się drugiego wydania.

*** Najnowsza powieść Hektora Malot p. t. „Sans famille“, premiowana przez akademję francuską — przekładaną jest na język polski przez pannę Anielę B. — i niedługo pomieszczoną będzie w jednem z pism tygodniowych.

*** W jednym z teatrów petersburskich wystawione zostaną wkrótce „Kalosze“ Fredry syna w przekładzie p. Kriukowskiego.

Zadziwiająca jest przecież sumienność pana Kr. Oto, położywszy na sztuce swoje nazwisko jako tłómacza, zapomniał o nazwisku autora.

Dodał jednak, że przekład to z polskiego.

I za to mu — dzięki!

Prasa perjodyczna.

*** Większość dzienników katolickich belgijskich wyszła 11 lipca w obwódkach czarnych z powodu ogłoszenia ustawy o nauczaniu początkowem.

*** Dziennik serajewski *Bosnische Cor.*, po dziewięciu miesiącach istnienia, przestał wychodzić.

*** Paryzka gazeta *Liberté* organ bonapartystowski, przeszła do obozu republikańskiego.

*** Józef Braun, redaktor i wydawca humorystycznego pisma *Die Bombe*, skazany został za wyzyskiwanie swej pozycji ze szkodą dla kilku przemysłowców, na 6 miesięcy więzienia.

Sztuki piękne.

*** W Paryżu minister oświaty i sztuk pięknych postanowił założyć muzeum porównawcze architektury i rzeźbiarstwa.

*** W Londynie wskutek rozkazu władzy wyższej, indyjskie muzeum zostanie zwinięte; przedmioty oddane będą do innych królewskich muzeów.

*** W Mannheimie w dniach 26, 27 i 28 b. m. odbywać się będzie dziewiąty wielki festyn muzyczny towarzystw żeńskich. Z festynem tym połączona jest uroczystość 10-letniego istnienia mannheimskiego towarzystwa muzycznego. Oprócz dwóch kapel, występować też będzie chór złożony z 700 śpiewaków i śpiewaczek.

*** Na wystawę warszawskiego Towarzystwa zachęty sztuk pięknych przybyły w ostatnich dniach następujące obrazy.

Wojciecha Gersona: Chrzest Chrystusa w Jordanie“, płótno wielkich rozmiarów, przeznaczone dla kościoła Wszystkich Świętych na Grzybowie; Łosia Włodzimierza: „Na brzegu Dnieprų“, Maleszewskiego Tytusa: „Wiosna“ i „Jaś“ (z powieści J. I. Kraszewskiego „Sfinks“), Millera Karola: „Głowa kobiety“ oraz „Głowa mężczyzny“, Strzałeckiego Wandalina: „Jasio konie poił, Kasia wodę brała“, Wastkowskiego Franciszka „Poranek“ tudzież „Południe“.

Znajdują się też na wystawie: „Władysław Warneńczyk“ Matejki i „Długosz“ Gramatyki Antoniego.

W sali rzeźb umieszczone zostało „Popiersie Mickiewicza“, wykonane przez Pruszyńskiego Andrzeja.

*** Dokonany już został zakup drugi obrazów celem rozlosowania takowych pomiędzy członków Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Warszawie.

Obrazy te są następujące: Brodowskiego Józefa: „Krówki“, Maleckiego Władysława: „Stare koryto Wisły“, Strzałeckiego Wandalina: „W parku“, Sztencla Maurycego: „Głowa mnicha“ (studjum) i Witkiewicza Stanisława: „Pogrzeb“.

Rozlosowaną też zostanie statua Kucharzewskiego Ludwika, przedstawiająca „Rzymiankę“.

Wszystkie te dzieła sztuki nabyte zostały przez Towarzystwo za 1520 rs.

*** Józef Brodowski, znany artysta-malarz, wykończa obecnie obraz większych rozmiarów „Oddanie sztandaru“.

*** Na międzynarodową wystawę sztuk pięknych w Monachjum przesłane będą wybitniejsze dzieła nabyte w ostatnim salonie przez rząd francuski.

Teatr.

*** W Warszawie na scenie teatru wielkiego daną była po raz pierwszy wielka opera Ryszarda Wagnera „Lohengrin“.

*** Sarah Bernhard, b. artystka komedji francuskiej, zawarła z amerykańskim impresariem umowę, wskutek której uda się wkrótce do Ameryki; przed objazdem ma wystąpić w Wiedniu i Petersburgu.

*** Patti zawarła już podobno umowę, podług której śpiewać ma przez cały sezon zimowy w Petersburgu otrzymując 25,000 fr. za każdy występ; Nicolini został też angażowany.

⁂ *Times* ogłasza list dyrektora teatru Gaité w którym powiedziano, iż 62 przedstawień w Londynie komedji francuskiej przyniosły sumę 19,805 funtów szterlingów.

⁂ W Paryżu żywe zajęcie budzi sprawa p. Kowalskiego, autora opery „Gilles de Bretagne“, i żony jego Marji Elloy. Dziesięć lat temu pobrali się pod wspólnością majątkową, której zniesienia żąda obecnie pani Kowalska, podając za powód, iż interesa męża i jej wydatki poniesione szczególniej z powodu przedstawienia wyżej wspomnianej opery nadwerężyły jej fortunę, której zaczynają istotnie grozić. Intercyza opiewa, że pan Kowalski wnosi 30,000 franków, dzieła swoje i prace przyszłe, a małżonka ze swej strony 1.300.000 fr. w ziemi i kapitałach, oraz zamek w Bretanji.

Szkoły.

⁂ Rada miasta Lwowa uchwaliła założenie szkoły czteroklasowej imienia Czackiego z wykładem polskim, dla dzieci izraelickich płci obojga.

⁂ Rektorem wiedeńskiego uniwersytetu obrano protestanta profesora Brücke; od czasu istnienia uniwersytetu stało się to po raz pierwszy, iż godność rektora dostała się nie-katolikowi.

⁂ Na konkursie ogłoszonym z powodu sześćdziesięcioletniej rocznicy założenia uniwersytetu petersburskiego nagrodzona została medalem złotym rozprawa Polaka p. Adama Sznuka; jednocześnie też z powodu tej rozprawy towarzystwo historyczno-filologiczne wybrało autora jej na członka.

⁂ Wydział filozoficzny Jenajskiego uniwersytetu ogłasza: „W dniu 30-tym maja roku bież kandydat nauczycielski do szkół wyższych Jan Teodor Pasig z Pegau, na podstawie rozprawy p. t. „O nikomachijskiej etyce Arystotelesa“ otrzymał stopień doktora. Ponieważ jednak wspomniona dysertacja okazała się później plagiatem, wypisanym z programu prof. Lutharda w Lipsku p. t.: „O etyce Arystotelesa w obec moralności chrześcjańskiej“, przeto podpisany fakultet ogłasza niniejszem promocję Jana Teodora Pasiga za niebyłą i nieważną.“ Następują podpisy dziekana i profesorów.

⁂ Pod prezydencją p. Baillargera odbyło się roczne posiedzenie francuskiej akademji nauk lekarskich. Przeczytano raport ogólny o nagrodach przyznanych w 1878 r.: Oto wykaz głównych laureatów. Nagroda Barbiera (4.000 fr.) dr Burq—2.000 fr. dr Roussel – 2.000 fr.; nagroda Godarda: dr Pellarin — 600 fr. i dr Testut — 400 fr.; nagroda Orfila (6.000 franków): dr Laborde i aptekarz Duquesnel; nagroda Falrata przypadła dr Lagardelle; nagroda Desportes'a: dr. Lambert.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

⁂ Zwłoki Preradowicza, najznakomitszego poety kroackiego, pochowane na jednym z cmentarzów wiedeńskich, zostały odgrzebane i wysłane do Zagrzebia (Agram) dla złożenia ich w rodzinnej ziemi.

⁂ Jedna z gazet angielskich donosi iż królowa Wiktorja od czasu śmierci swojego męża zaoszczędziła z swych dochodów sumę czterech miljonów funtów szterlingów, które złożone są w konsolach, rencie francuskiej i angielskich akcjach kolejowych.

⁂ W Amsterdamie od 7 do 13 października r. b. odbywać się będą posiedzenia kongresu lekarskiego. Kongres będzie miał charakter ściśle naukowy. Językami urzędowemi kongresu będą francuski i niemiecki, a mianowicie na posiedzeniach ogólnych wyłącznie francuski, a na posiedzeniach sekcji francuski albo niemiecki. Prace kongresu obejmą: medycynę, chirurgję, akuszerję, ginekologję, biologję, sądową medycynę, psychjatrę, oftalmologję, choroby uszne, farmokologje.

⁂ Dr Nowicki, znany ichtyolog, zwołuje w Krakowie zgromadzenie celem założenia towarzystwa rybackiego, mającego na celu podniesienie rybactwa w kraju.

⁂ Posłowie do rady państwa z Alzacji i Lotaryngji otrzymali z swej ojczyzny petycję, opatrzoną 10.000 podpisów, a domagającą się pomocy władz przeciw ciągle wzmagającemu się użyciu wódki; petycja zostanie wydrukowana i rozdana wszystkim członkom rady państwa.

⁂ W Poznaniu skonstatowano kilka nowych wypadków trychin.

⁂ *France* donosi o ucieczce dyrektora towarzystwa kolei konnej parysko-wersalskiej Francka, dokonanej po sprzeniewierzeniu pięciu miljonów franków.

⁂ W Palermo policja wysłała listy gończe za syndykiem giełdy Paolino Pintaruda, który zniknął sprzeniewierzywszy około 500,000 lirów; baron Riso de Colobria, głównie poszkodowany, wyznaczył 25.000 lirów za schwytanie przeniewiercy.

⁂ Głód w Kaszmirze niepokoi rząd indyjski. Z powodu iż obejmuje on bardzo znaczną przestrzeń trudno będzie zapobiedz mu skutecznie. Miasta i wsie wyludniają się. Wysłano do doliny kaszmirskiej 3,500 tonn zboża.

⁂ W Alort pożar zniszczył wieżę ratuszową, zabytek z XII wieku; płomień powstał wskutek puszczania ze szczytu wieży ogni sztucznych.

⁂ Piękny las Hamyanes, w Sidi-Bell-Abbes w Algerji, prawie cały spłonął; ogień strawił 2000 hektarów, pomimo wysiłków mieszkańców i wojska w gaszeniu pożaru.

⁂ W Berlinie 20-go czerwca o wpół do trzeciej rano w teatrze „Urania“ wybuchł pożar. Mimo szybkiej bardzo pomocy, pożar szerzył się z gwałtownością. Wkrótce przekonano się, iż teatr skazany na zagładę. Szkody wielkie. Spłonęły też wszystkie rekwizyta teatralne i bibljoteka.

Wynalazki i odkrycia.

⁂ Z obserwatorjum królewskiego w Greenwich donoszą, iż profesor Peters w Nowym-Yorku odkrył nowego planetę jedenastej wielkości.

⁂ W Rochester odkrył Lewis Swift nowego kometę teleskopowego o krótkiej miotle.

⁂ W Libiążu pod Chrzanowem, w Galicji, znaleziono węgiel kamienny w dobrym gatunku, 5 stóp gruby pokład, w głębokości 23 st. pod ziemią.

⁂ Próba orki ze skombinowanym piętrowym, i podwójnym pługiem, wynalazku p. Gąsiorowskiego, wypadła nader zadawalająco.

⁂ Balsamowanie.

Preparator anatomiczny w uniwersytecie kolińskim, Wickersheimer, odkrył niedawno, jak donosi Gartenlaube, nowy sposob konserwowania zwłok ludzkich w stanie podobnym do ciała żyjącego.

Donoszący o tem odkryciu p. K. Sterne, opowiada, że widział w laboratorjum wynalazcy trupa chłopca zmarłego przed kilku miesiącami, który leżał na wolnem powietrzu i wydawał się jakby śpiące dziecko, bez najmniejszej oznaki śmierci lub ze psucia pośmiertnego, tak, że cera twarzy i miękkość ciała zachowane były zupełnie jak u żyjącego.

„Widziałem różne podobne preparaty — powiada p. Sterne — począwszy od mumij egipskich do skamieniałych trupów profesora Brunetiego w Padwie, lecz tamte najmniejszego nie mogą znieść porównania z niniejszym przykładem.“

„Tak bardzo dotąd podziwiana sztuka balsamowania mumij w Egipcie, jest w porównaniu ze sztuką Wickersheimera niczem!“

„Tam za pomocą mozolnej pracy zdołano zachować od zepsucia tylko zesztywniałą bryłę, kiedy tu jedno wstrzyknięcie w tętnicę, zmarłego wystarcza, aby ciało od zepsucia uchronić!“

⁂ Telefon praktycznym Amerykanom oddaje rzeczywiste codzienne usługi. Większe miasta urządziły całą sieć telefonów, rozchodzącą się z centralnego biura jak promienie. Jeżeli potrzebuję rozmówić się z panem X, zawiadamiam o tem biuro centralne, które wzywa pana X do najbliższej mu komunikacji zaraz, lub na oznaczoną godzinę, ja stawiam się do swojej i rozmawiamy. Chicago urządziło telefonowe komunikacje w sposób wzorowy; rozmawiają też tam bez przerwy we wszystkich kierunkach.

⁂ Kolej etektryczna. Jedną z najciekawszych nowości na wystawie berlińskiej opisuje „Przyroda i przemysł“; jest nią kolej żelazna elektryczna zbudowana przez Siemensa i Halske. Siłę elektryczną wytwarza tu machina dynamo-elektryczna wprawiana w ruch przez machinę parową i działająca na inną machinę dynamo-elektryczną obracają koła parowozu. Długość drogi wynosi 200 metrów, szybkość trzy metry na sekundę; wagonów jest trzy i dwudziestu podróżnych. Podobna próba powtórzona będzie na wystawie naukowej paryskiej w pałacu przemysłowym z wielce obiecującym motorem Marcela Depreza. Zbudowano nowy jego model ważący siedm kilogramów a który przy użyciu dwunastu elementów Bunsena może wytworzyć siłę jednego człowieka. Ten motor Marcela Depreza wystawiony jest obecnie w Lille, z powodu prób balonowych stowarzyszenia aerenautycznego. Spodziewają się, że będzie on wystarczający do poruszania helisy balonowej przy podnoszeniu i zniżaniu balonu bez konieczności wyrzucania balastu lub wypuszczania gazu.

⁂ Wagony dwupiętrowe, zbudowane według pomysłu inżyniera Krausa, poddane zostały próbom. Piętro niższe położone jest niżej niż przedziały w wagonach obecnie używanych. Oba piętra będą mogły pomieścić razem 150 osób. Schody umieszczono na czterech rogach wagonów. Próby z temi wagonami odbywają się na linji Monachium Starnberg.

⁂ W Grenobli przy burzeniu muru starożytnego klasztoru odkryto kamień gallo romański, użyty niegdyś przez zakonników przy budowie kościoła; na kamieniu znajduje się długi napis, stwierdzający wystawienie w 268 roku naszej ery pomnika dla cesarza Klaudjusza II.

Podróże.

⁂ W Londynie utworzył się komitet, którego zadaniem będzie uskutecznienie poruszonego projektu dotarcia do bieguna północnego za pomocą balonu. Do komitetu, oprócz promotora myśli p. Cheyne, należą też członkowie parlamentu Dilke, Puleston, dr Cameron i inni. Obliczają, iż przedsięwzięcie da się wykonać kosztem 30,000 funtów szterlingów.

⁂ Amerykańska ekspedycja polarna, urządzona kosztem p. Bennette'a, dyrektora *New-York Heralda*, udała się w drogę z San-Francisco. Ludność żegnała okręt entuzjastycznie. Załoga „Jeannetty“ składa się z 18 marynarzy i trzech oficerów floty Stanów Zjednoczonych pod komendą kapitana De Long. Inżynier, chirurg, meteorolog, badacz natury i korespondent gazety *New York Heralda* biorą udział w tej nowej ekspedycji do stref północnych: pierwszej, mającej zamiar dotrzeć do bieguna przez cieśninę Behringa.

Handel i przemysł.

⁂ W Zagrzebiu projektowanem jest urządzenie w roku 1881 wystawy gospodarczo-przemysłowej; w wystawie mają wziąć udział różne prowincje słowiańskie państwa austrjackiego.

⁂ W Londynie 30 czerwca otwartą została przy sprzyjającej pogodzie międzynarodowa wystawa rolnicza.

⁂ W Londynie podczas rolniczej wystawy światowej, odbędzie się publiczne zgromadzenie gospodarcze. Obradom będzie przewodniczył markiz Huntly. Zgromadzenie zastanawiać się ma nad przyczynami obecnego upadku rolnictwa.

⁂ Inauguracja paryskiej międzynarodowej wystawy umiejętności, mających w przemyśle zastosowanie, naznaczona jest nieodwołalnie na koniec lipca.

⁂ W Hanowerze w zeszłym tygodniu odbyła się wystawa psów. Wystawa, podzielona na 90 klas, obejmowała 870 psów różnych ras. Dla każdej klasy wyznaczona była nagroda, w wartości 75 florenów.

⁂ Dzienniki rosyjskie, z powodu spodziewanych „cel bojowych“ ks. Bismarcka, podnoszą myśl przeniesienia ujść Wisły i Niemna z Gdańska i Memla do Windawy. Projekt podobny istnieć miał już poprzednio, dowodem czego ma służyć kanał augustowski i zamiar przedłużenia go aż do Windawy, co utworzyłoby „kanał windawski“. Podobny projekt spotykamy w gazetach wiedeńskich. Półurzędowa *Mont. Revue* donosi, iż rząd austrjacki ma zamiar pobudować drogę arlsberską, któraby otworzyła komunikację bezpośrednią z Francją.

⁂ Komisje londyńskiego międzynarodowego kongresu telegraficznego oświadczyły się ostatecznie za przyjęciem taryfy od ilości słów.

⁂ W Wiedniu w dniach 25 i 26 sierpnia odbywać się będzie międzynarodowy targ zboża i na-

sion; w Praterze otwartą zostanie równocześnie międzynarodowa wystawa maszyn rolniczych.

*** W Pradze od 27 do 30 października r. b. odbywać się będzie międzynarodowa wystawa owoców.

*** Dotychczas zgłosiło się 4128 wystawców, którzy oświadczyli się z gotowością wzięcia udziału w wystawie narodowej. w roku 1880 mającej się w Bruksélli odbyć. Zgłoszenia prześcignęły przewidywania budżetowe. Lista wystawców została zamknięta.

*** Pan Lesseps udaje się do Ameryki w towarzystwie jenerała Türra, aby kierować robotami przygotowawczemi do przekopania cieśniny Panamy.

Zjawiska przyrody.

*** Powszechnie uskarżają się na szkaradne powietrze, jakie dokucza mieszkańcom południowej i zachodniej Europy. W Paryżu w dniach ostatnich prawie nie wychodzono na ulicę bez zimowego palta. Słońca od wielu dni wcale nie widziano.

*** W stanach południowych Ameryki panują niesłychane upały; wydarzyło się kilka wypadków insolacji, zakończonych śmiercią.

*** W Hiszpanji panują wielkie upały. W Madrycie termometr podniósł się do 38 stopni. W Sewilli upały dosięgły 41 stopni.

*** W Londynie skonstatowano, iż ostatnia niedziela była czterdziestą i drugą z rzędu, podczas których deszcz lał bezustannie.

*** W niektórych okolicach hrabstwa salmarskiego w Węgrzech pojawiła się szarańcza, wyrządzając olbrzymie szkody. 3,600 ludzi użyto do wytępienia owadu. Szarańcza spustoszyła 600 morgów uprawnych pól.

Nekrologja.

Zmarli:

† Maurycy Gottlieb, jeden ze znakomitszych malarzy naszych, w Krakowie.

† Aleksander Rożniecki, syn generała, literat, w Sinnem na Wołyniu.

† Amadeusz Maczewski znany w Niemczech krytyk muzyczny w Kaiserslautern.

† Tomasz Massalski, powieściopisarz i lingwista w Louvain.

† Franciszek Ksawery Chwatał kompozytor w Elmen w Saksonji.

† Teoktyst Błażewiez, arcybiskup i metropolita ormiański w Czerniowcach.

† Baron Bela Wenckheim, węgierski minister, powszechnie szanowany mąż stanu i patrjota w Peszcie.

PYŁ ULICZNY.

Małe na pozór przyczyny, ważne częstokroć za sobą wiodą następstwa.

Zdanie to powszechnie znane zamienia się w pewnik, gdy w rzędzie szkodliwych drobnych przyczyn postawimy np. mikroskopijny pył uliczny, owe nieuchronne złe miast większych.

W jednem z popularno-naukowych pism niemieckich, dr. Burkart zamieścił dość wyczerpujące nad tym przedmiotem badania, ktore w streszczonym podajemy tu zarysie.

Oprócz cząstek mineralnych i roślinnych, pył uliczny badamy pod mikroskopem przedstawia w składzie swoim cały świat żyjątek, o których istnieniu nie mieliśmy nawet pojęcia. Cząstki mineralne powstają z tarcia i zużycia żelaznych obręczy kół i podków końskich, do czego dodać można pył z rozwożonych cegieł, węgla kamiennego, piasku, wapna i t. p. Przymieszkę roślinną stanowią tu ulatniająca się mąka z młynów, piekarń, cząsteczki lnu i bawełny z zużywającej się na nas odzieży.

Dla przekonania się, jaka ilość pyłu unosi się w powietrzu, dość jest podczas zupełnie cichej nocy rozpostrzeć na dachu papier wielkości metra kwadr., a po przeważeniu następnie osiadłego na nim kurzu przekonamy się, że waga jego wynosi 20 milligr. Czynione w ten sposób doświadczenia okazały, że na polu Marsowem w Paryżu osiada codziennie 35 kilogr. czyli 30 fun pyłu. Deszcze i śniegi, ściągając pył ku ziemi, oczyszczają tem samem powietrze. Podczas suszy otacza on zarówno równiny, jak i wysokie góry. Warstwy powietrza ponad oceanem zarówno jak i w krainach wiecznych śniegów, nie są wolne od pyłu. Pył ten zwany kosmicznym składa się z cząstek żelaza, kolbaltu, niklu, fosforu i to prawdopodobnie wyjaśnia znajdowanie się tych pierwiastków w aerolitach.

Wiejące w jednym kierunku wiatry przenoszą niekiedy nasionka roślin i wymoczki, dalekim tylko krajom właściwe.

Tak np. w Lyonie i Genui dostrzeżono w pyle mikroskopijne wymoczki żyjące tylko w Gallata i Venezueli, w krajach zaś południowych i na lodowcach Alp spotykamy algi właściwe tylko okolicom podbiegunowym.

Pył, w którym przeważają cząsteczki roślinne, mniej okazuje się szkodliwym niż mineralny, a takim przeważnie jest kurz ulic miejskich. Ciekawe a zarazem smutne dowody szkodliwych wpływów przedstawiają robotnicy pracujący przy obróbce kruszców. W Norymberdze, gdzie istnieją liczne fabryki złota malarskiego, przekonano się z pośmiertnych obdukcyj, że płuca robotników pokrywa czerwona warstwa pyłku owego złota. Byłoby pożądanem, aby rzemieślnicy pracujący nad przeróbką metali, zwłaszcza tokarze, kowale, ślusarze, nożownicy, pozłotnicy, dbając o własne dobro, większą na ten przedmiot zwracali uwagę.

Też same spostrzeżenia szkodliwego oddychania tak zanieczyszczonem powietrzem dają się sprawdzić w szlifierniach i przy obróbce kamieni. W łomach bardzo twardych kamieni młyńskich pod Epernon we Francji, połowa robotników podlega chorobom płucnym; w angielskich zaś zakładach nożowniczych robotnicy średnio 30 lat życia dosięgają. Największa tu śmiertelność przypada na polerujących metale na sucho bez dodania wody.

Podobnie jak pracownicy w kamieniołomach, mieszkańcy miast wystawieni są także na szkodliwy wpływ kurzu ulicznego, który jeżeli nie tak dotkliwie oddziaływa na organizm, w każdym razie zwolna podkopuje zdrowie i życie. Pył nietylko na ulicach ale i wciskając się do mieszkań, ujemnie działa na organa oddechowe. Staranne więc oczyszczanie naszych siedzib jest koniecznym warunkiem zdrowia.

W przechadzkach po ulicach i placach naszego miasta, na których za każdym powiewiem wiatru wznoszą się tumany kurzu, sami doświadczamy, jak on drażni oczy, pobudza do kaszlu, wywołuje chwilowo chrypkę, a niekiedy głos nawet tamuje. Ile w ciągu roku płuca nasze pochłaniają kurzu, dość powiedzieć, że gdy w 4-tygodniowem dziecku śladów jego nie znaleziono, człowiek 40-letni posiadał go 13, a 60-letni 16 proc. Jak szkodliwym jest pył z bruków granitowych, przekonywa zabrukowany w ten sposób Wiedeń, gdzie też i największa śmiertelność przypada z suchot. W Londynie choroba ta zabiera rocznie 8 tysięcy osób.

Zbyt śmiałą wprawdzie i jednostronną byłaby hypoteza, że suchoty i wogóle choroby piersiowe po miastach mają swe wyłączne źródło w tumanach pyłu ulicznego; trzeba wszelako przyznać, że codzienne wdychanie lotnych a tak różnorodnych cząsteczek pyłu, dla osób dotkniętych czysto dziedziczną czy z innych przyczyn nabytą chorobą płuc, wreszcie dla ludzi zmuszonych żyć w tak zakażonej atmosferze, powinny stać się bodźcem dla zarządów miast i komitetów sanitarnych do przedsięwzięcia energicznych środków, tłumiących tak groźne złe dla hygieny miast. Wprawdzie technika hygieniczna radykalnych ku temu środków jeszcze nie znalazła, głównym atoli zaradczym warunkiem byłyby odpowiednie bruki. Lecz i tu przedstawia się dotąd ostatecznie nierozstrzygnięta kwestja, jaki za najwłaściwszy na bruki uznać należy materjał. Bruki z kamieni polnych sztucznych, bazaltowe, asfaltowe, żelazne, drewniane, w Londynie, Paryżu, równie jak i u nas układane, ostatecznych w tej mierze danych nie okazały.

Kamienne bruki mają za sobą tę wyższość, że im kamień trwadszy tem mniej się ściera, a tem samem mniej wydaje pyłu; trwałość zaś jego zmniejsza wydatki na konserwację. Z drugiej atoli strony, im kamień twardszy tem mielszy wydaje pyłek, co, jak wyżej nadmieniliśmy, szkodliwie na narzędzia oddechowe oddziaływa. Polewanie ulic, choćby, jak w Wiedniu, z pomocą wozów opatrzonych w kiszki wyrzucające strumień wody lub jak u nas z pomocą beczek podnosi pył i wciska go do pobliskich mieszkań; po wyschnięciu zaś ulicy, poprzednia wraca kurzawa.

Zdaje się, że jedynym niszczącym pył uliczny środkiem byłoby znaczne wywyższenie bruku ulic ze znacznym ku rynsztokom spadkiem, przez co, przy obfitem zlaniu wodą, pył spływałby do rynsztoków a ztąd do otworów kanalowych, ktore, dla zabezpieczenia ich do zamulenia, musiałyby być zaopatrzone w skrzynki z dnem siatkowem.

Celem powstrzymania szybkiego wysychania ulic po ich zroszeniu próbowano w Paryżu, Rouen i innych miastach, dodawać do wody przymieszkę chlorku wapna, lecz środek ten, jakkolwiek celowi odpowiedni, okazał się za kosztowny.

Pozostaje nam jeszcze zastanowić się w jaki sposób zabezpieczyć się możemy od wdychania powietrza zanieczyszczonego pyłem ulicznym lub fabrycznym. Ślusarzom, tokarzom, nożownikom itp. radzono zakładać na usta respiratory lub zwilżone gąbki. Lecz i to nie zawsze okazało się celowi odpowiedniem. Zbyt cienka warstwa respiratora, złego nie usuwa, grubsza tamuje oddech, swobodne zaś oddychanie, przy wysileniu fizycznem, jest niezbędnem. Najwłaściwszem byłoby zaprowadzenie w lokalach fabrycznych silnej wentylacji lub sztucznego wtłaczania w nie świeżego powietrza. Nadto, sale robocze należy kilkakrotnie dziennie zlewać wodą, przełożeni zaś powinni zalecać robotnikom częste płukanie ust świeżą wodą. Przemywanie również oczu i noszenie okularów, choćby z miki, zabezpiecza również wzrok robotników.

Radzilibyśmy także, aby nasi warstatowi pracownicy przywykali podczas pracy do oddychania nosem przy zamkniętych ustach, drobny bowiem pył osiadając w kanałach nosowych, do gardła a tem samem i do płuc nie dochodzi.

Taki sposób oddychania możnaby zalecać wszystkim podczas ruchu na ulicach.

A Anglii, zamiast niedogodnych i twarz szpecących *respiratorów*, zaczęto używać siatek czyli zasłon oddechowych, zabezpieczających usta i nos rzemieślników od wciągania szkodliwego pyłu.

Przeciągnięta u spodu siatki taśma gumowa i na tył głowy założona, tamuje jej powiewność i w mierze na obliczu utrzymuje.

Krótkim tym zarysem o szkodliwości lotnego pyłu wdychanego na ulicach i w zakładach przemysłowych, chcieliśmy zwrócić uwagę na ujemne złe dla naszych organizmów następstwa.

Oby każdy, przekonany o ważności tego przedmiotu, starał się w sferze swej działalności rzucone tu myśli praktycznie zastosować!

Treść Nr. 26.

Z drukarni Dziennika Polskiego. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.